# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

**Prenumerata kosztuje:**
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

**Wychodzi każdej soboty.**
REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

**Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).**

Rok I. | Kraków, 8 października 1904 r. | Nr. 2.


# Tajemnicze morderstwo.



(Do artykułu na str. 4.)

**Numer ten zawiera 24 stronic druku!**

# KWIAT NĘDZY

CZĘŚĆ PIERWSZA.

POWIEŚĆ

## Pomyłka sądowa.

I.

W zbytkownie urządzonym gabinecie konsultacyjnym siedzą naprzeciw siebie dr Stanisław, lekarz słynący z wiedzy i szerokiej praktyki, oraz dr Marcin Żarski, człowiek młody, liczący bowiem zaledwie lat trzydzieści pięć.

Na twarzy drugiego maluje się znużenie. Czoło jego pokrywają już głębokie zmarszczki. Cała jego fizyognomia wyraża mękę wewnętrznego zmartwienia i ukrywanego smutku, którego rozproszyć nie jest w stanie siła męskiej woli.

Doktor Stanisław jest już starcem prawie. Słynie w całym kraju jako znakomity specyalista w chorobach piersiowych. Dobroć i życzliwość dla nieszczęśliwych, wyryły na jego licach piękne i szlachetne piętna.

Ci dwaj ludzie złączeni są od dawna nicią szczerej sympatyi. Gdy dr Stanisław ordynował w szpitalu Dzieciątka Jezus, Marcin był przez dwa lata jego asystentem, jako ulubiony niegdyś uczeń zacnego profesora. A jednak pewne nieporozumienie wzajemne panuje dziś między nimi, jakby obaj nie chcieli się przed sobą zwierzyć z dręczących, a bolesnych wrażeń.

— Jakże ci wdzięczny jestem, panie profesorze — szepnął nareszcie Żarski — że oddałeś wczoraj wizytę mojej biednej Klarci.

— Przejeżdżając przez Marszałkowską, przypomniałem sobie dane ci przyrzeczenie. Wszedłem do waszego mieszkania na Chmielnej i długo badałem twoją żonę. Niestety, przyznać muszę, że znalazłem ją bardzo zmienioną.

Marcin drgnął całem ciałem.

— Tak — ciągnął dalej starzec — to już nie dawna śliczna Klarcia, o gęstych, płowych włosach, która czekała na ciebie, gdy wychodziłeś ze szpitala. Była to wówczas istna idyla! ...Idylę zakończyło wkrótce małżeństwo. Nie przynieśliście sobie wzajemnie nic prócz miłości. Nie uwierzysz, jak czułem się szczęśliwy, gdyś mnie przyszedł prosić na świadka swego ślubu! Ale wszystko mija! — rzekł dr Stanisław, podnosząc się z miejsca. — Przyszła choroba... — zastanowił się i urwał nagle zaczęte zdanie. — Ach! jakże smutne jest życie ludzkie! Wielu z nas nie chciałoby go rozpoczynać powtórnie. Ja pierwszy!

— A ja! — pomyślał w duchu Marcin, przesuwając dłoń po chmurnem czole.

Tonem, któremu usiłował nadać znamię spokoju, zapytał po chwili:

— Jakże ci się wydała, panie profesorze, moja biedna Klarcia?

— Bardzo chora, mój drogi. Tuberkuły ją zjadają, ale nie trzeba rozpaczać. Klara jest młodą, a młodość, to podobno jedyny sprzymierzeniec lekarza... Tak; można mieć jeszcze nadzieję... a nawet przekonany jestem, że ją uratujemy, jeśli wyślesz żonę na południe... jeśli ucieknie z pod naszego zabójczego klimatu... jeśli naprzykład spędzi zimę w Cannes albo Hyères, gdzie oddychać będzie czystem, uzdrawiającem powietrzem lazurowych wybrzeży.

Żarski, przygnębiony, nie rzekł ani słowa.

— Dla tego właśnie, że chciałem ci to wszystko powiedzieć — mówił dalej dr Stanisław — prosiłem matkę twoją, aby cię uprzedziła, że czekać dziś na ciebie będę. Tu, gdy nas nikt nie słucha, muszę wyznać ci szczerze, że wszelkie lekarstwa, jakiebym twojej ukochanej chorej przepisał, przyniosłyby jej tylko chwilową ulgę w cierpieniach.

— Spełnię co polecasz, panie profesorze — rzekł Marcin drżącym głosem. — Wyprawię Klarę do jednego z sanatoryów w południowej Francyi...

— Uczynisz, jak będziesz mógł, mój drogi, ale radzę ci spieszyć, bo zima nadchodzi, a koniecznem jest, aby żona twoja opuściła Warszawę przed nadejściem mrozów... Wiesz co? byłoby bardzo dobrze, gdybyś z nią razem wysłał całą twoją rodzinę... W jej otoczeniu Klara nie nudziłaby się...

— Całą rodzinę! wszystkich! gdybym mógł! — myślał Żarski, przyciskając rękę do płonącego czoła.

Pomimo, że wyznawał dla swego mistrza cześć najgłębszą, pomimo, że wiedział, ile dobroci i współczucia mieści się w jego sercu, nie chciał zwierzyć mu się z nieszczęśliwego położenia, w jakiem się znajdował, nie śmiał przyznać się do swej nędzy. Zdawało mu się, że szczere wyznanie obniży jego godność osobistą, że go zmniejszy w oczach Stanisława, a przecież, gdyby powiedział, jaka bieda panuje u niego od lat dziesięciu, jak ograniczać się musi w wydatkach nawet codziennych, zbawiłby prawdopodobnie wszystkich. I — o gorzka ironio! — profesor, który nie przypuszcza nawet, aby jego uczeń cierpiał niedostatek, przerywa krótkie milczenie następującemi słowami:

— Jesteś zdolny, uczony i pracować umiesz, więc musisz mieć dobrą klientelę. Zarabiasz prawdopodobnie dużo pieniędzy, nic więc ci nie przeszkadza do wysłania żony na południe. Za kilka miesięcy powróci zupełnie zdrowa. Ach, mój Marcinie, należysz do szczęśliwych, do wybranych. Iluż to innych uczniów moich wegetuje w ciągłych utrapieniach, bez pacyentów... czasem bez kawałka chleba.

I smutnym g osem szepnął po niejakimś czasie:

— Widzisz, jest nas lekarzy za wielu... o! tak, za wielu!

Żarski pożegnał się, chwycił za kapelusz i wyszedł.

Potrzebował przestrzeni i powietrza, żeby zawładnąć dręczącemi go myślami i rozważyć słowa starca.

Zwrócił kroki w stronę Alei Ujazdowskich. Co pocznie, co ma przedsięwziąć?! Nigdy w życiu nie czuł się jeszcze tak smutny i tak boleśnie wzruszony.

W oczach swego uczonego mistrza wyczytał wyrok, skazujący Klarę na śmierć... Ach na wspomnienie o tem, serce jego drży jeszcze... Pod ciężarem okropnego ciosu zapomina o mijających godzinach... Nie spostrzegł nawet, że noc już rozpięła nad miastem czarny swój namiot... Latarnie zapalają się powoli, rzucając mdłe światło na chodnik i gościniec alei. Drobne krople deszczu szeleszczą cicho, rozbijając się o zeschłe liście, pokrywające betonowe płyty. Pustka — pustka wokoło! A on, z piersią przygniecioną brzemieniem okropnej zmory, idzie wśród nocy, ciągle dalej i dalej.

Dzień dzisiejszy nosi datę 31 października 1875 roku.

Och! całe życie pamiętać będzie tę fatalną datę, ryjącą się w jego mózgu ognistemi cyframi.

I nie bacząc, że ktoś nagle nadchodzący usłyszeć go może, woła zdławionym głosem:

— Wywieźć Klarę na południe!.. do Cannes, do Hyères... Ależ za co?.. za co?!

I zgorzkim uśmiechem naustach szepce następnie:

— Ach, najmilsza, pozostaniesz z nami w Warszawie, której powietrze cię zabije, a ja cię uratować nie zdołam. Cała moja wiedza nie jest w mocy wyrwać cię okrutnej śmierci, czyhającej u twojego łoża boleści!

Zawrócił nagle, spiesznym krokiem przebiegł plac Trzech Krzyży i idzie teraz znowu powoli po Nowym Świecie, wpośród gwarnego i wesołego tłumu, wysypującego się z teatrzyków ogródkowych.

Wspomnienia młodości budzą się nagle w jego pamięci. Zdaje mu się, że widzi przed sobą wdzięczną Klarcię, idącą na jego spotkanie. Ach! jaka cudna dziewczyna, o ciężkich, płowych włosach, o oczach tak ławkowych, że można się w nich przejrzeć, jak w zwierciadle!

Dziesięć lat minęło, rozpraszając czystą i wielką radość... całe szczęście! Pozostawiły po sobie w obu kochających się sercach tylko boleść i żałobę...

Szybko i niespodzianie zawrócił znowu Żarski na miejscu i wszedł w ulicę Chmielną.

Przed domem o skromnej powierzchowności, w znacznem oddaleniu od Nowego Świata, zatrzymał się osłabiony, ocierając pot z czoła. Potem, jakby popchnięty jakąś siłą niewidzialną, wbiegł do ciemnej sieni; następnie na pierwsze i drugie piętro. Tu stanął przed drzwiami, na których błyszczała mosiężna blacha, z czarnym napisem:

DOKTOR MARCIN ŻARSKI.
Przyjmuje od 2 do 4 po południu.

Chwilkę dumał, jakby się wahał, poczem wyjął klucz z kieszeni i obrócił go dwukrotnie w zamku. Drzwi rozwarły się cicho.

Stąpając ostrożnie, przesunął się przez ciemny przedpokój i wszedł do małego pokoju, stanowiącego zarazem salon i jadalnię.

Okrągły stół otaczała cała rodzina, składająca się z starej, ślepej kobiety i trojga małych dzieci.

— Dobry wieczór mamo, dobry wieczór dzieci — rzekł Marcin. — Pewno czekaliście na mnie z wieczerzą. Innym razem nie czekajcie, mam tyle zajęcia, a Warszawa taka długa i szeroka, trzeba czasu, żeby ją przebiedz od końca do końca.

I to mówiąc, usiadł na krześle. Dzieci go otoczyły. Jedno wskoczyło na kolana, drugie ramionami opasało mu szyję. Zaczęły szczebiotać, zadając różne pytania. Ale nagle radość ogólna zgasła i nastało przykre milczenie. Wszyscy przypomnieli sobie, że w sąsiednim pokoju leży osoba ciężko chora.

— Jak się mama miewa? — szepnął Żarski.

— Śpi — rzekła babka, zbliżając się do Marcina — śpi, nie trzeba ją budzić.

— Nie budźmy jej, dzieci — powtórzył Żarski nieprzytomnie.

Wszyscy, wraz z ślepą, umilkli.

Staruszka usiadła w cieniu, zwracając niewidzące oczy na syna i wnuk. Te drogie sobie istoty rozróżniała wzrokiem serca. Ileż to razy w ciągu dnia gorące i spracowane jej dłonie spoczywały na pochylonych przed nią główkach. Dotknięcie samo sprawiało jej radość.

Teraz, siedząc milcząca, odgadywała szczęście, jakiego dzieci doznawać muszą z powodu powrotu ojca. Istotnie, w oczach dwóch ośmioletnich dziewczynek, płonęły ogniki wesela. Bliźniętami były; jedna brunetka, druga blondynka, podobne do siebie, jak dwie krople wody. Gdyby nie kolor włosów, nie byłoby sposobu je rozróżnić.

Brunetka nosiła imię Sabiny; blondynkę zwano Zosią.

Sabinka i Zosia miały zupełnie jednakie niebieskie oczy, toż samo słodkie i wymowne spojrzenie, wdzięk niewymuszony i tenże sam uśmiech czarujący. Obie, jak na wiek swój, były wyględnie wysokie.

Obok tych dwóch dziewczynek, tak szczerze udarowanych od natury i już dziś zadziwiająco pięknych, stał chłopczyk, którego wieku niepodobna było określić. Ch rowity, widocznie cierpiący, zwracał wilgotne oczy na ojca, pogrążonego w smutku. Lękliwy i trwożny, nie śmiał go o nic pytać, ale dzięki jakiemuś wewnętrznemu przeczuciu, odgadywał, że może się od niego dowiedzieć tylko czegoś przykrego.

Dreszcz wstrząsał jego drobnem i wątłem ciałem.

Liczył zal[illegible] lat dwanaście, a twarzyczka jego, jak u c[illegible]a, który przeżył wszystkie zawody i rozczarowania, wyrażała smutek głęboki. Możnaby sądzić, że zniszczone niegdyś złudzenia pozostawiły ślady na jego skroniach, porysowanych zmarszczkami; bolesne skrzywienie ust kłóciło się z pełnem słodyczy spojrzeniem, a olbrzymia głowa, porośnięta jeżącymi się w górę, pomierzwionymi

włosami kołysała się na cienkiej szyi, wyrastającej z wązkich ramion, już obecnie jakby zgiętych i pochylonych przez jakieś niezwykle ciężkie brzemię.

Dziecko to nie należało do rodziny. Marcin znalazł je kiedyś w noc zimową na placu Dzieciątka Jezus, a chociaż biedny, przyniósł do swego mieszkania zmarzniętego sierotę, liczącego wówczas zaledwie dwa lata. Od tego czasu pani Żarska, dobra i miłosierna osoba, solidaryzując się z miłosiernym uczynkiem syna, zaprowadzić musiała w gospodarstwie dawnem nowe oszczędności.

Interni w szpitalu Dzieciątka Jezus zbierali kiedy niekiedy między sobą składkę, a zebraną kwotę oddawali Marcinowi, mówiąc wesoło:

— Masz! weź, to na odzież dla twego mikrusa!

Znalezionego chłopca nazwano Janem. Żarski kochał go, jak rodzonego syna.

Teraz, po ucałowaniu Sabinki i Zosi, objął Janka ramieniem.

— A ty, co mi powiesz?

— Czy widziałeś się, tatku, z tym... z tym sławnym doktorem?

— Tak, mój mały, widziałem się z nim i od tej chwili w głowie mi się mąci.

Przed malcem zwierzał się Marcin jak przed dorosłym i prawdziwym druhem, jak przed synem, posiadającym wiek odpowiedni do zrozumienia jego frasunku.

Janek marzący, z oczami przyćmionemi łzami, nic nie odpowiadał.

— Więc widziałeś się istotnie z doktorem Stanisławem? — zapytała ślepa.

— Tak — odparł Żarski. — Wyszedłem z jego domu, jak szalony. Nie miałem odwagi wprost tu powrócić, więc błądziłem długo po mieście...

To mówiąc, uwolnił się z objęć dzieci i przeszedł do sąsiedniego pokoju, w którym ukochana żona, matka Sabiny i Zosi, spoczywała na łóżku, bledsza od pościeli. Nachylił się nad nią i wlepił wzrok w lica przez chwilę zmienione. Po chwili usta jego na jej ustach spoczęły.

– Moja Klarciu najdroższa! – szepnął.

Chora nie rzekła i słowa, Marcin uczuł jednak dwie ręce, chwytające go za szyję i przyciskające jego czoło do warg gorączką spalonych. Potem owe ręce obie, znużone wysiłkiem, opadły na posłanie. Żarski usiadł przy łóżku i zamyślił się głęboko.

Klara, czas jakiś niespokojna, po chwili usnęła.

Marcin przysłuchiwał się parę minut jej cichemu oddechowi, a potem powstał i na palcach przeszedł do jadalnego pokoju.

— Dzieci poszły spać — rzekła ślepa. — Chciały przed odejściem ucałować rączki Klary, lecz zabroniłam im wejść do jej sypialni. Wiedziałam, że pragniesz pozostać z nią sam na sam... Och! ukrywasz rozpacz przedemną... Czy nie masz już do mnie zaufania? Przecież matce powinieneś wszystko powiedzieć... Powiedz, powiedz! może znajdę lekarstwo na twoją boleść...

— Niema lekarstwa na moją boleść. Nawet ty, mateczko nie zdołasz jej ukoić...

— Och! nie wiesz i nie rozumiesz, co matka uczynić może, gdy w obronie dzieci swoich staje!

Marcin objął kibić ślepej ramieniem i przeprowadził ją do swej pracowni.

W pokoju tym przyjmował zwykle pacyentów, więc urządzenie jego było wytworniejszem i zbytkowniejszem, niż całego mieszkania. Matka i syn zgromadzili w nim wszystko, co posiadali najpiękniejszego. Tu Żarski spędzał popołudniowe godziny, nieraz w próżnem i upokarzającem oczekiwaniu na chorych, zjawiających się bardzo rzadko.

— Słuchaj — rzekła ślepa, biorąc Marcina za rękę — domyślam się, co ci powiedział doktor Stanisław. Powiedział ci niezawodnie, że stan zdrowia naszej biednej chorej jest bardzo groźny, że aby ją uratować, trzeba Warszawę opuścić i udać się do ciepłych krajów... że musimy wyjechać wszyscy, bo Klara nie zgodzi się, abym ja i dzieci wasze pozostały... A więc, jeśli chcesz mój drogi, wyjedziemy jutro...

— Ach! mateczko... mateczko...

— Wiem, co chcesz na słowa moje odpowiedzieć — przerwała pani Żarska. — Brak pieniędzy na wyjazd nasz nie pozwala. Czyniłam wszystko, żeby nędzę zażegnać, lecz silniejszą była od moich starań i zabiegów, więc mnie pokonała.

— Czemuż mówisz o wyjeździe? — zawołał Marcin. — Ach! najlepszy, jedyny środek, jaki nam pozostaje, jest umrzeć razem..

Bladość śmiertelna powlekła twarz ślepej.

— O! nie masz prawa targnąć się na własne i dzieci życie!... To byłoby podłością, podłością, podłością!... Myślałeś o samobójstwie, o wycofaniu się z walki życia... Mój synu, mój synu! jakże nisko upadłeś w oczach moich!

— Cóż mi życie daje? Nędzę.. okropną nędzę. Wolę śmierć...

— Ale córki twoje umierać nie chcą, więc musisz próbować wszelkich środków wybawienia..

Żarski opuścił głowę na piersi i milczał; matka jego także chwilę milczała.

Po chwili wargi jej poruszyły się. Szeptała jakby do siebie.

— Co do Janka, to co innego... Los jego mało mnie obchodzi. To nie twoja krew... a od chwili, jak wszedł do domu, nędza nasza wzrosła...

— O, matko, matko! nie mów tego o biednym malcu, bo słowa twoje sprawiają mi wielką przykrość...

— Masz słuszność... lepszym jesteś odemnie... I ja go kocham... przecież go wychowałam, wypielęgnowałam... Kochałam go nawet bardzo... aż do chwili, w której wziąłeś Klarę za żonę... aż do



chwili przyjścia na świat twoich dziewczątek... O, wówczas całą moją miłość przelałam na nie...

— Janek jest sierotą — rzekł Marcin z wielką słodyczą — jak ja, nigdy nie znał ojca.

Żarska zamilkła. Chmura smutku powlekła jej białe czoło, a w nieruchomych jej oczach łzy nagle zabłysły. Marcin zsunął się bezwiednie z krzesła, położył głowę na kolanach matki — i płakał.

Ślepa szeptała:

— Dziś powiem ci nazwisko twego ojca, bo tylko ojciec twój zbawić nas może.

— Mów... mów! — zawołał Marcin.

— Jesteś synem hrabiego Jelskiego.

— Młody lekarz ukrył twarz w dłonie, zanosząc się od łkania.

— Słuchaj — mówiła dalej biedna kobieta — musisz pójść do niego jutro, musisz mu powiedzieć, żeś jego synem; musisz mu mnie przypomnieć... Wiele już lat upłynęło od opłakanego dnia, w którym go poznałam,. ale nie podobna, aby nie pamiętał Janiny Żarskiej, biednej dziewczyny, którą zgubił... i porzucił bez litości! Musisz mu powiedzieć, że popełnił wówczas straszną zbrodnię.. może jednak ją okupić, ratując nas dzisiaj wszystkich.

— Jakim sposobem ten człowiek może nas uratować? — zapytał Marcin dziwnie chłodnym głosem.

— Dając ci pieniądze!... Hrabia Jelski, bogacz, milioner, nie może nam odmówić pomocy!

— Nigdy w życiu nie pójdę do tego człowieka! Mateczko... nigdy!

— Jednak pójść musisz.. jeśli nie chcesz, żeby Klara umarła.

— Co ja mu powiem? Że jestem jego synem... ależ on mi się w nos rozśmieje. Gdybym zaś chciał mu przedstawić moje położenie i cel moich odwiedzin, sądziłby, że wyzyskać go przychodzę... zawołałby lokai i kazałby mnie za drzwi wyrzucić. Wówczas, uniesiony gniewem, popełniłbym może zbrodnię.... Czy chcesz, aby syn twój stał się mordercą?! Nie, nie, matko!... nie posyłaj mnie do hrabiego Jelskiego... nie posyłaj mnie do tego człowieka!

— A więc ja pójdę... Błagać go będę, żeby mi winy moje przebaczył...

— Winy twoje względem niego?! Nie, nie, mateczko... ty kłamiesz! Całe twoje życie było jednem wielkiem pasmem abnegacyi i poświęcenia. Żeby mnie wychować i dać mi wykształcenie, pracowałaś dniem i nocą. Pracując po nocach, przy lampce naftowej, straciłaś wzrok... Chciałaś zrobić ze mnie panicza... więc pchnęłaś mnie na drogę, na której spodziewałaś się dla mnie świetnej karyery. Byłem ci posłuszny... uczyłem się, studyowałem, zdawałem świetnie egzamina... zostałem w końcu doktorem... I na co mi się to przydało?... Ty i ja zawiedliśmy się z kretesem... Od lat dziesięciu walczymy z nędzą, z najstraszliwszą, najohydniejszą... bo z nędzą w czarnym fraku!... Przecież doktor medycyny żebrać nie może i uskarżać się, że nie zarabia na kawałek chleba, że dzieci jego umierają z głodu!... Och, matko, matko! dlaczego nie zrobiłaś mnie prostym robotnikiem!

– Przebacz mi... łudziłam się nadzieją...

– Gdy chodziłem do szkół, a potem na wykłady uniwersyteckie, ty pracowałaś bez wypoczynku, niszcząc oczy, aby zarobić na chleb jutrzejszy... bo jedynym środkiem naszego utrzymania była twoja praca... tylko twoja praca!. Pan hrabia prędko się z tobą załatwił... porzucił cię bez litości...

— Synu mój, synu!

— Miasto roi się od adwokatów, lekarzy i nauczycieli. Talent i wiedza chodzą w butach dziurawych... Setki ludzi, z najświetniejszymi dyplomami w kieszeni, pożycza od siebie wzajemnie rubla, żeby przeżyć do jutra...

Żarska, która już nieraz słuchała wyrzutów syna z poddaniem się i pokorą, szepnęła teraz głosem, drżącym od wzruszenia:

— Milcz! błagam cię, milcz! Nie przypominaj mi, żem zgrzeszyła pychą... pychą miłości macierzyńskiej... Przyznaję, że jako robotnik byłbyś stokroć szczęśliwszy...

— I miałbym za co wychować dzieci! Wytrwały i inteligentny robotnik zawsze znajdzie pracę...

— Dopóki silny i młody — szepnęła ślepa z przejmującym smutkiem.

— Jeśli odmawiasz... jeśli nie chcesz pójść do niego... pójdę ja... opuszczona i porzucona kochanka...

— Nie... nie pozwalam ci stawać przed tym człowiekiem!

— Jeśli ojciec twój nie przyjdzie nam z pomocą, dzieci twoje pomrą z głodu, a Klara zgaśnie w twoich ramionach...

— Litości!... litości!

Żarska sięgnęła ręką za gors i wydobyła list.

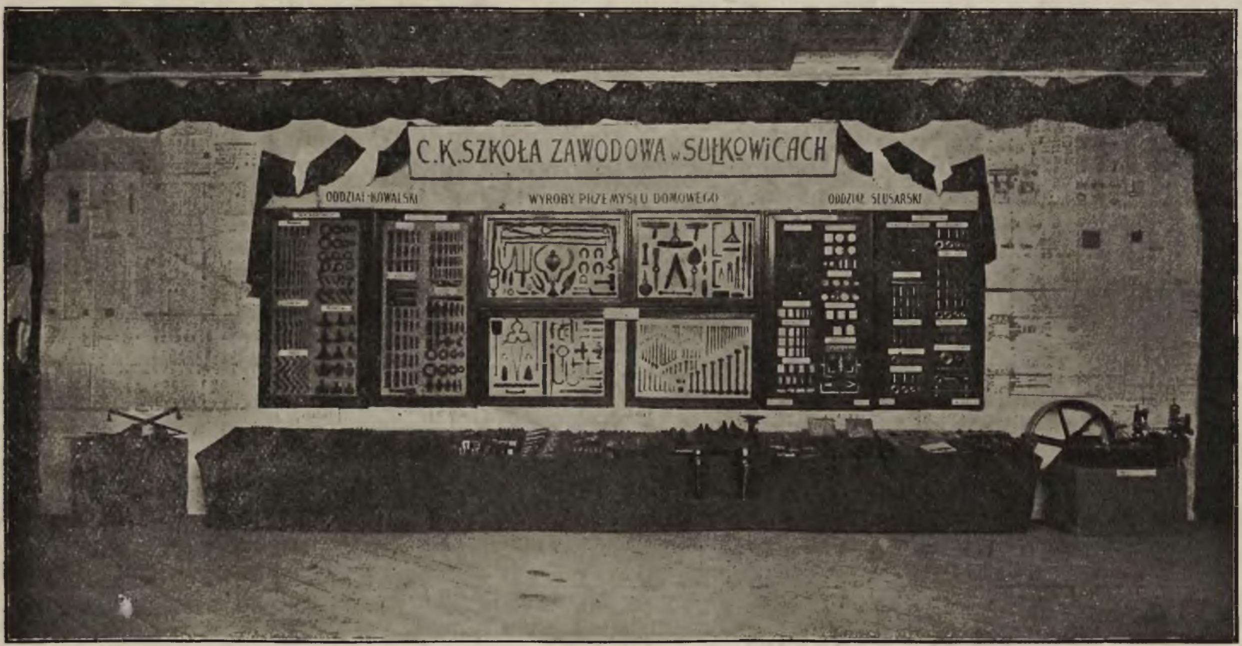
— Doręcz go hrabiemu, a zbawisz nas. Klara cię o to błaga; Klara żyć pragnie. Jeśli zechcesz, utrzymasz ją przy życiu. Córki twoje, Sabinka i Zosia, przez usta moje prośby do ciebie zanoszą...

— A! — zawołał Marcin, złamanym od wzruszenia głosem.

## II.

Przed bramą pałacyku hrabiego Jelskiego zatrzymał się wykwintny, otwarty powóz, zaprzągnięty w parę rasowych, karych koni. Z powozu wysiadła naprzód młoda dama, licząca mogąca od trzydziestu do trzydziestu trzech lat najwyżej; za nią pan w podeszłym wieku, pod szyję opięty jesiennym paltotem.

C. d. n.




**Z wystawy metalowej w Krakowie: Wyroby szkoły kowalskiej w Sułkowicach.**

# Tajemnicze morderstwo.

(Do illustracyi na stronicy tytułowej.)

Uwierzyć doprawdy trudno, do jak potwornych zbrodni zdolni są ludzie pod wpływem chwilowej jakiejś namiętności. Niema wówczas dla nich nic świętego, niema żadnego hamulca, któryby był w stanie powstrzymać ich wtedy od najstraszniejszych czynów, chociaż kiedyindziej sama myśl o czemś podobnem napełniła by ich wstrętem i obawą.

Ileż to razy czytamy, jak wiedziony pragnieniem zemsty nieletni chłopak podkłada płonącą żagiew pod zagrodę swego gospodarza nie zważając, że przytem cała wieś może pójść z dymem!...

Ileż to wypadków takich wychodzi na jaw, przed forum sądowem, wypadków, gdzie dla kilku marnych centów lub dla flaszki wódki człowiek z zimną krwią zatapia nóż w sercu bliźniego!...

Niema prawie tygodnia, żeby w dziennikach nie notowano takich wypadków, niema kadencyi sędziów przysięgłych, żeby nie toczyła się na takiem tle bodaj jedna rozprawa!...

Jedna z takich krwawych, tajemniczych tragedyi rozegrała się zeszłego tygodnia w lasach sierszeckich.

Dnia 28 z. m. mały chłopak, szukający grzybów po lesie, na małej polanie dostrzegł zakrwawionego strasznie trupa. Przerażony tym widokiem, pobiegł do pobliskiej wioski Czyżowa i doniósł o tem odkryciu władzy gminnej, która w tej chwili uwiadomiła żandarmeryę w Trzebini.

Śledztwo wykazało, że krwawy trup jest zwłokami sześćdziesięciopięcioletniego Wawrzyńca Sarny z Czyżowa.

Zamordowany musiał się bronić rozpaczliwie, zanim morderca zdołał mu wbić nóż w piersi, bo całe ubranie było na nim porozrywane, a w zaciśniętych przedśmiertnym kurczem pięściach znaleziono garść włosów wyrwanych z głowy mordercy.

Żandarmerya aresztowała podejrzanego o tę zbrodnię młodego włościanina Walentego Ziembę, ale ten nawet wobec zbryzganych krwią zwłok Sarny stanowczo wypierał się tego czynu.

Tę właśnie chwilę skonfrontowania Zięby z trupem zamordowanego przedstawia nasza rycina.



**Z wyst. metal. w Krakowie: Oddział dla popierania przemysłu c. k. min. handlu.**

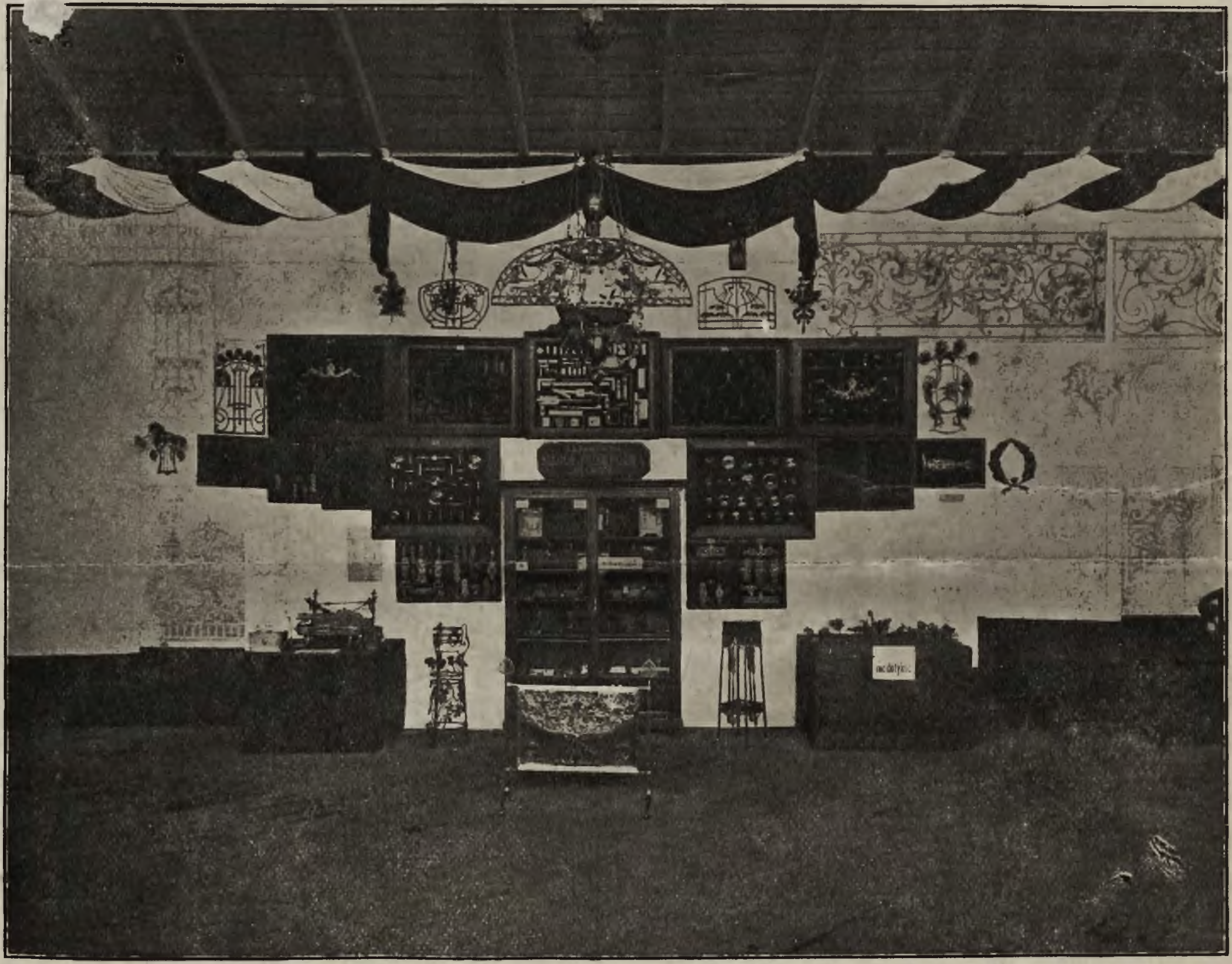
## Z wystawy metalowej w Krakowie.

Niemożliwością jest dla nas, choćby tylko dla braku miejsca, zatrzymywać się nad każdym poszczególnym wystawcą, tembardziej, że wobec bogatych zbiorów, w jakie wystawa metalowa obecnie już zamknięta obfitowała, nasuwałby się pod pióro cały szereg porównań i uwag, zwłaszcza co do wykonania robót w tym samym zakresie przez rożnych wystawców. Musimy więc ograniczyć się tylko do ważniejszych jej punktów, a przedewszystkiem uwzględnić podstawy, na których ma się nasz przemysł rozwinąć, tj. szkoły zawodowe.

Jedną z takich szkół jest w pierwszym rzędzie szkoła kowalska w Sułkowicach pod dyrekcyą p. Franciszka Smereczyńskiego. Na obszernym stole zebrano tu wyroby przemysłu domowego, niemające nic wspólnego z artyzmem, ale za to posiadające codzienne praktyczne zastosowanie. Zgrabnie kute z dobrego materyału i czysto nadzwyczaj odrobione topory, młoty, sierpy, nożyce wszelkiego rodzaju, kowadła, śrubsztaki i tym podobne przedmioty rozłożone na długim stole, w pierwszej linii zwracają uwagę widza.

Ponad stołem na ścianie w dwóch ramach rozwieszone są znowu prace warstatowe uczniów. Jedna rama obejmuje roboty wchodzące w zakres kowalstwa jak: kucie spłaszczanie i rozpłaszczanie żelaza, przebijanie otworów i t. zw. „spogrzewanie". W drugiej ramie widzimy znów prace ślusarskie jak n. p. spajanie blach, toczenie otworów i gwintów, oraz pasowanie płaszczyzn przy pomocy dłuta. Całość robi na widzu bardzo dobre wrażenie. Każda rzecz jest starannie wykończona i istotnie dyrekcya szkoły sułkowickiej obsyłając wystawę miała się czem pochwalić.

Z innej zupełnie strony przedstawia się działalność lwowskiej szkoły przemysłowej której dyrektorem został niedawno w miejsce ś. p. Gorgolewskiego architekt Zygmunt Hendel. Prace kowalskie i ślusarskie tej szkoły wystąpiły tylko z wyrobami artystycznemi i to — śmiało rzec można — wcale nieposlednie wartości, a dalej z produkcyą maszynową i projektami rysunkowemi na kucie wyrobów artystycznych.



**Z wystawy metalowej w Krakowie: Prace uczniów lwowskiej szkoły przemysłowej.**

W pierwszym dziale przedewszystkiem zwracają uwagę szczegóły artystycznie kute z jednego kawałka żelaza o motywach zaczerpniętych ze świata roślinnego. Na niewielkim stoliczku widzimy gruszkę wraz z kiścią zieleni, różę, słonecznik, wiązkę kosaćców i gałęź bodiaka.

A wszystko to obrobione jest z taką prawdą, tak wiernie naśladujące naturę, a przytem tak powiewne i delikatne, że wprost niechce się wierzyć, aby z twardego żelaza przy pomocy młota, można było coś podobnego wykonać.

Ministerstwo handlu wystąpiło także ze swoim oddziałem dla popierania przemysłu. Z okazów wystawowych nie wiele tu jest do widzenia, bo zaledwie kilka próbek robót wykonanych przez uczniów kursów majsterskich dla ślusarzy narzędziowych i galwanotechników. Ciekawy dział jednak tworzą zagraniczne maszyny pomocnicze jak maszyna rytownicza paryskiej firmy Ledru i maszyna do zaginania, także zrobiona w Paryżu przez firmę Dard.

Wśród grona prywatnych przedsiębiorstw na pierwszy plan wybija się pracownia ślusarska Józefa Goreckiego. Artystyczny przemysł reprezentuje tu tylko kilka bardzo pięknie kutych lamp wiszących. Po za tem p. Górecki wystawił elegan-

ckie urządzenie sypialni meblami systemu angielskiego oraz modele łóżek szpitalnych w kilku rodzajach, z których jedno łóżko szpitalne dające się każdej chwili przekształcić na fotel, zyskało sobie ogólne uznanie wśród sfer lekarskich.

Na tem urywamy nasze sprawozdanie z wystawy, odkładając zakończenie jego do następnego numeru.

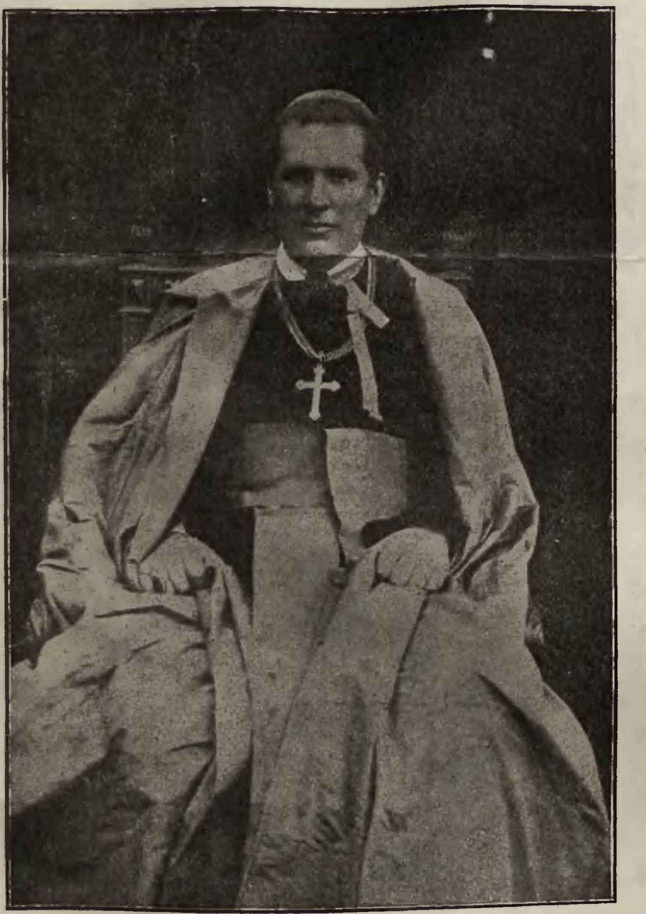



**Z wystawy metalowej w Krakowie**: Wyroby pracowni ślusarskiej J. Góreckiego. Fot. Jabłoński, Kraków.

## Kongres Sodalicyi Maryańskich we Lwowie.

Trzy dni trwały we Lwowie uroczystości, jakie ku uczczeniu pięćdziesięcioletniego jubileuszu uznania dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny Maryi urządziły Sodalicye maryańskie.

Całe miasto było świątecznie przystrojone. Ulice zdobiły wysokie maszty, przybrane w chorągwie o barwach papieskich, narodowych i krajowych oraz w tarcze herbowe tego samego rodzaju. Wszystkie okna instytucyi publicznych i prywatnych pomieszkań udekorowano wspaniale.



**Kongres Sodalicyi maryańskich**: Metropolita lwowski obrz. gr.-kat. ks. arcybiskup hr. Szeptycki.

Szereg tych uroczystości, których głównymi inicyatorami byli arcybiskup metropolita lwowski obrządku rzymsko-katolickiego ks. Bilczewski, biskup ks. Weber oraz metropolita grecko-katolicki arcybiskup ks. Szeptycki i arcybiskup ormiański ks. Theodorowicz, rozpoczął dnia 27 z. m. raut w Kasynie miejskiem, w którym wzięli udział wszyscy świeccy i duchowni dostojnicy, tudzież członkowie kongresu i zaproszeni na tę zabawę goście.

Dopiero na drugi dzień rozpoczął się właściwy kongres Sodalicyi uroczystem nabożeństwem w kościele archikatedralnem, celebrowanem przez arcybiskupa ks. Bilczewskiego.

Po nabożeństwie członkowie kongresu wraz z dygnitarzami zebrali się w sali Filharmonii, gdzie ich przywitał pełną zapału mową ks. arcybiskup Bilczewski, otwierając pierwsze posiedzenie kongresu i stawiając wniosek, aby prezesem obrad obrano posła Władysława Kraińskiego.

Wniosek ks. arcybiskupa przyjęto jednogłośnie i poseł Kraiński objął swe urzędowanie.

Z kolei zabierali głos marszałek krajowy hr. Stanisław Badeni, prezydent m. Lwowa dr. Małachowski, p. Janusz Przygodzki, ks. arcybiskup Theodorowicz i imieniem gości z Księstwa Poznańskiego p. Chłapowski.

Wszyscy ci mówcy starali się dać wyraz tej głębokiej czci i miłości, jaką goreje serce każdego Polaka ku Najświętszej Pannie Maryi, Królowej Korony Polskiej!

Następnie dokonano wyboru czterech sesyi, w których na drugi dzień cały szereg wybitnych ludzi w historyi i literaturze tak kościelnej jak i świeckiej wygłosiło referaty o czci i historycznym kulcie Matki Bożej w Polsce.

Tego samego dnia uroczystości maryańskie dobiegły kresu, a ostatnim ich punktem była procesya, w której udział wzięło przeszło pięćdziesiąt tysięcy osób.

Ruszyła ona z kościoła archikatedralnego. Pochód ten otwierała młodzież szkolna, bractwa, cechy, Sokoli, pielgrzymki ze Stanisławowa i Chyrowa, sodalicye i Towarzystwo strzeleckie ze swoim królem kurkowym na czele.



**Kongres Sodalicyi maryańskich**: Arcybiskup obrządku ormiańskiego ks. Theodorowicz.

Za tą zbitą ławą ludzi postępowali posłowie na Sejm i do Rady Państwa, namiestnik hr. Andrzej Potocki i marszałek krajowy hr. Stanisław Badeni, wreszcie duchowieństwo wszystkich trzech obrządków wraz ze swymi biskupami i arcybiskupami.

Za duchowieństwem na wspaniałym, bogato złoconym i zdobnym w białe lilie tronie, dwudziestu ośmiu przedstawicieli stanu szlacheckiego, duchownego, mieszczańskiego i włościańskiego dźwigało cudowny obraz Matki Bożej Łaskawej, przed którym ongiś król Jan Kazimierz składał swe śluby.

Pochód ten skierował się najpierw na plac Maryacki, gdzie arcybiskupi Bilczewski i Theodorowicz dokonali aktu poświęcenia wspaniałej studni, ozdobionej marmurową statuą Najświętszej Panny Maryi, ofiarowanej miastu jeszcze w r. 1861 przez Seweryne hr. Badeniową.

Stamtąd procesya podążyła na Rynek, gdzie cudowny obraz wraz z tronem złożono na zbudowanym przez miasto ołtarzu.

Chór młodzieży przy akompaniamencie trąb zanucił stary hymn husarzy polskich „Bogarodzico Dziewico“, poczem do zebranych tłumów wiernych przemówił ks. arcybiskup Bilczewski, wspomniawszy na pamiętne śluby króla Jana Kazimierza. Po tem uroczystem wznowieniu ślubów nieszczęsnego naszego króla, który był gorącym i gorliwym sługą Maryi, ks. arcybiskup pobłogosławił zebranych cudownym obrazem i procesya w tym samym co pierwej porządku powróciła do katedry.



**Kongres Sodalicyj maryańskich**: Metropolita lwowski obrz. rzym.-kat. ks. arcybiskup Bilczewski.

Wieczorem tego dnia odbyło się plenarne ostatnie posiedzenie członków kongresu, na którem przemawiali hr. Stanisław Tarnowski, włościanin Tenczar i ks. biskup Pelczar, który wyraził gorące życzenie, aby najbliższy kongres maryański mógł się odbyć w Warszawie.

Na tem, po odczytaniu i uchwaleniu całego szeregu rezolucyi i uchwał powziętych przez sekcye, zakończono obrady i poseł Kraiński zamykając kongres, pożegnał zebranych krótką przemową.

Tak to w stolicy naszego kraju cały naród złożył hołd Tej, pod której opieką w każdem nieszczęściu z taką ufnością uciekali się nasi przodkowie.

## Wystawa ogrodnicza w Krakowie.

W ubiegłą niedzielę otwartą została w Krakowie wystawa ogrodnicza, urządzona staraniem miej-



**Kongres Sodalicyi maryańskich we Lwowie**: Poświęcenie tronu N. P. Maryi w rynku. (Opis na str. 5). — Fot. Bahrymowicz, Lwów.

scowego Towarzystwa ogrodniczego, instytucyi bardzo pożytecznej i ruchliwej.

Obecna wystawa nie pierwsze to dzieło Towarzystwa: liczne szkółki drzewek po wsiach, kursy ogrodnicze dla nauczycieli wiejskich, szereg pożytecznych wydawnictw specyalnych a popularnie napisanych, jarmarki owocowe i ogólne szerzenie zasad ogrodnictwa racyonalnego wśród ludu — oto, co rekomenduje jak najdodatniej instytucyę, co każe wierzyć, że urządzona obecnie wystawa najzupełniej odpowie celowi swemu, bo uświadomi ogół o kulturze ogrodniczej w kraju, bo wykaże uzdolnienie w tym kierunku sił młodych, na rodzinnej glebie wyszkolonych.

Wystawa przedstawia się okazale, bardzo okazale! Chcielibyśmy w rycinach odzwierciedlić jej całość, chcielibyśmy, by czytelnik, który zwiedzić wystawy nie miał sposobności, mógł zaokrąglone mieć o niej pojęcie — niestety, podobizn wszystkich wystawionych okazów dać nie sposób — bo na to ani miejsce, ani czas zbyt krótki nie pozwala.

Wstrzymując się z podaniem illustracyi do czasu ogłoszenia nagród, by dać wszystko co wyróżniono, a więc godnem widzenia uznano — musimy obecnie poprzestać na opisie wystawy, starając się wysunąć na pierwszy plan to, czemu ludzie fachowi pierwszeństwo oddają.

Wystawa mieści się w parku Jordana, który malowniczem położeniem swem najzupełniej odpowiada rozrzuconym pawilonom i kioskom z okazami.

Wystawione okazy podzielono na trzy działy: kwiaciarstwo, ogrodnictwo i warzywnictwo; poza tem w pawilonie głównym umieszczono wszystko to, co bezpośrednio dotyczy powyżej wyszczególnionych działów, a więc: przyrządy i narzędzia ogrodnicze, przetwory owocowe, jako to: wino, konfitury, cukry i marmolady, nasiona, nawozy, wyroby koszykarskie i t. p. Dopełnia całości bogaty dział naukowy, złożony z dzieł specyalnych, tablic porównawczych, planów ogrodowych i doświadczeń chemicznych. Jako odrębny, lubo z ogrodnictwem związany dział — znalazło również na wystawie miejsce pszczelnictwo.

Przyjrzyjmy się pobieżnie wystawionym okazom.

Ogólną zwraca uwagę pawilon Wydziału krajowego, reprezentujący warzywa, przetwory owocowe oraz szkółki drzewek z krajowych zakładów ogrodniczych i sadowniczych.

Pawilon krajowej Rady Szkolnej przedstawia działalność pól doświadczalnych, szkół ludowych i kursów specyalnych. Tu też wspomnieć należy o wzorowo urządzonym ogrodzie szkolnym p. Szarka, ogrodnika z Dąbia.

W krótkiej notatce naszej nie sposób wymieniać wszystkich wystawców — z przyjemnością jednak możemy zaznaczyć, że w wystawie wzięli udział nietylko ogrodnicy krajowi, ale i producenci z Warszawy, W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich.

Obiecując powrócić raz jeszcze do tego przedmiotu wraz z podaniem ciekawszych pawilonów i poszczególnych okazów, kładziemy nacisk na tę godną zaznaczenia okoliczność, że całość przedstawia się bardzo zajmująco i bardzo pouczająco, za co inicyatorom wystawy należy się szczere uznanie.

Jak nas poinformowano, robotami kierował inspektor ogrodów miejskich p. Malecki, któremu też w znacznej mierze imponujący wygląd wystawy przypisać należy.



**Kongres Sodalicyi maryańskich we Lwowie**: Biskup obrz. rzym.-kat. ks. Weber. (Opis na str. 5).



**Kongres Sodalicyi maryańskich we Lwowie**: Poświęcenie studni z marmurową statuą N. P. Maryi na Placu Maryackim. (Opis na str. 5). Fot. Bahrymowicz, Lwów.

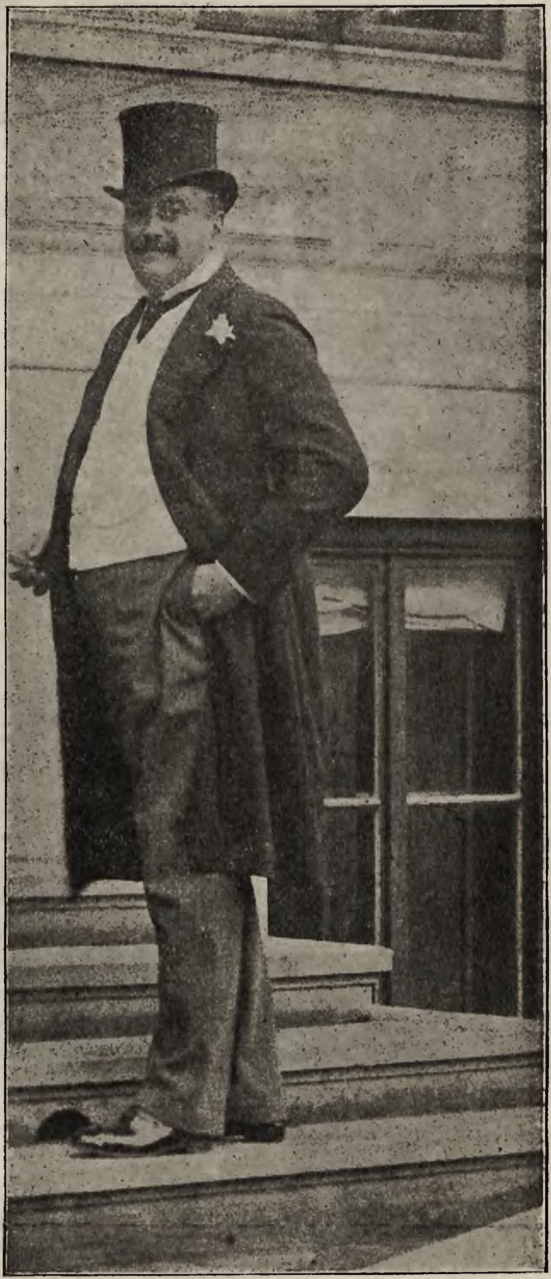
Na stronie 7 podajemy fotografię wzbudzającego ogólny podziw drzewka, wyhodowanego przez p. Grossa w kształcie świecznika staroświeckiego.

## Roboty koło budowy kościoła św. Elżbiety we Lwowie.

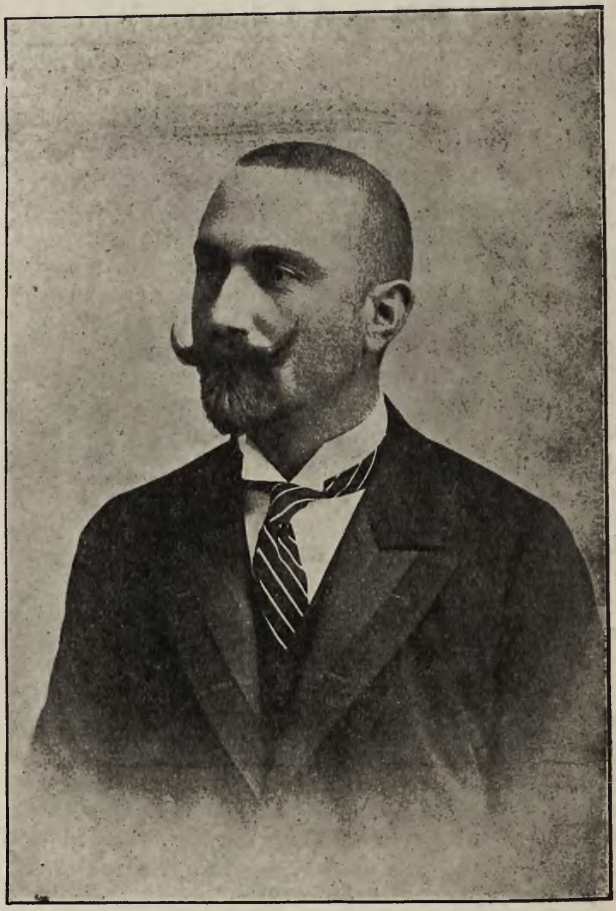
W poprzednim numerze naszego pisma podaliśmy już projekt budowy kościoła św. Elżbiety we Lwowie i wspomnieliśmy o rozpoczęciu wstępnych robót, które poprzedziło uroczyste nabożeństwo, jakie odprawił sam metropolita lwowski ks. arcybisk. Bilczewski w asystencyi księdza kanonika Ziemiańskiego i Jezuity Ojca Wróblewskiego. Wyczerpującą treść w tej sprawie zawierał numer poprzedni — teraz więc ograniczamy się jedynie do przypomnienia naszym P. T. Czytelnikom tej uroczystości i podajemy podobiznę, przedstawiającą akt



**Wystawa ogrodnicza w Krakowie:** Drzewko w kształcie świecznika, wystawione przez p. Grossa. (Opis na str. 6).



**Br. Jerzy Wassilko,** członek Izby Panów, nowomianowany marszałek rządu krajowego na Bukowinie. (Treść na str. 13). Fot. Krzanowski, Czerniowce.



**Ks. Konrad Hohenlohe,** ustępujący prezydent rządu krajowego na Bukowinie. (Treść na str. 13). Fot. Krzanowski, Czerniowce.

poświęcenia narzędzi robotniczych na placu budowy przez księdza arcybiskupa Bilczewskiego. W poświęceniu wzięli udział: prezydent miasta Lwowa dr. Małachowski, twórca planów architekt prof. Talowski, oraz grono zaproszonych osób.

## Korony królów polskich.

Gdzie się podziały korony królów polskich, to pozostaje do dziś dnia w zupełnej tajemnicy i wszelkie poszukiwania nie doprowadzają do pożądanych rezultatów. Godnym uwagi głosem w tej sprawie — głosem rzucającem pewne światło — jest zdanie profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, p. Piekosińskiego, który, zapytywany przez redaktora „Dziennika Polskiego, dał następującą odpowiedź:

„Gdzie się podziały korony królów naszych, niech na to zaborca odpowie; nikt z nas tego nie wie. Korony królów naszych przechowane zawsze bywały w skarbcu na Wawelu. Gdy Prusacy po rozbiorze ojczyzny naszej zajęli Kraków i zamek, korony przepadły bez wieści i dotąd żaden ślad ich nie odkrył. Jedni twierdzą, że Prusacy, zajàwszy zamek królewski, zabrali insygnia królewskie ze skarbca; ale Prusacy temu przeczą, niema ich też w gabinecie królewskim w Berlinie. Inni zaś są zdania że kapituła katedralna krakowska zdołała przed Prusakami ukryć te insygnia w bezpiecznem miejscu i że zawsze jeden kanonik katedralny wie o miejscu ich przechowania i na łożu śmierci zwierza tajemnicę znowu innemu kanonikowi. Dotąd jednak żaden kanonik się nie zdradził, by znał tę tajemnicę. Ja przypuszczam, że insygnia królewskie zabrali Prusacy, a bojąc się, by ich zwrotu nie zażądali cesarze rosyjscy, którzy noszą tytuł królów polskich, a zatem i do insygniów królewskich polskich mają prawo, ukryli je tak, aby świat o nich nie wiedział, ale ktoś... zapewne o nich wie. Jak te korony wyglądały, wiemy o tem doskonale, gdyż na monetach, medalach i grobowcach królów naszych znajdują się dokładne ich wizerunki. Rzekoma korona Chrobrego, przerysowana przez Bacciarelego za Stanisława Augusta, nie jest stanowczo koroną Chrobrego i jest starszą nad XIV. wiek. Rysunek Bacciarelego jest w Muzeum ksiażąt Czartoryskich w Krakowie“.



**Roboty koło budowy kościoła św. Elżbiety we Lwowie:** Arcybiskup ks. Bilczewski poświęca w obecności prezydenta m. Lwowa dra Małachowskiego i zaproszonych gości narzędzia robotnicze przed rozpoczęciem pracy. — Fot. Bahrymowicz, Lwów.

# Nowy kościół w Stanisławowie.

Stanisławów w październiku będzie obchodzić uroczystość poświęcenia nowego kościoła pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny Nieustającej Pomocy, wzniesionego dzięki ofiarności publicznej i zapobiegliwości jednego tylko człowieka, księdza Józefa Stelmaszyńskiego, katechety przy tamecznej szkole ludowej im. Czackiego.

Gród Rewery w nowym tym przybytku bożym zyska nietylko piękną, choć uderzającej prostoty budowlę, która będzie nową ozdobą miasta, lecz także i zaspokojenie potrzeb religijnych, bo dotychczas na cały Stanisławów, liczącym wraz z przedmieściami Knihyninemwsią i Knihyninem-kolonią przeszło pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, z czego połowa przypada na ludność wyznania rzymsko-katolickiego, było zaledwie dwa kościoły, t. j. farny i kościół OO. Jezuitów, a zresztą oprócz tego mały kościółek ormiański...

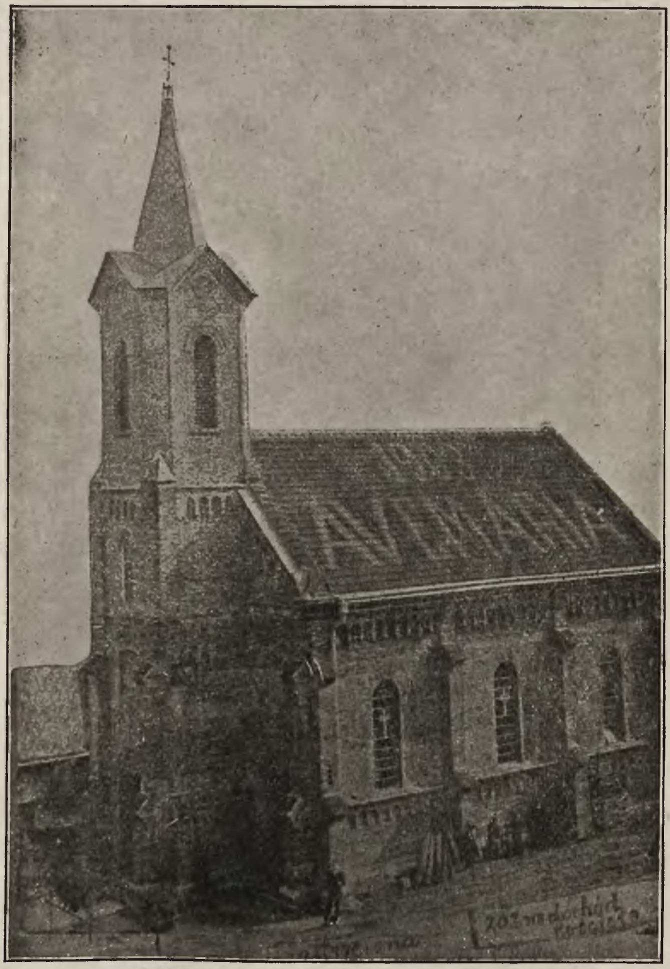
Brak kościołów dawał się odczuwać całej ludności katolickiej, a najwięcej młodej dziatwie szkolnej, która albo musiała się tłoczyć w kościele farnym, albo też pod drzewami okalającemi w krąg ten kościół oczekiwać na swoją kolej.

I długo zapewne byłby jeszcze Stanisławów czekał na wzniesienie nowej świątyni, gdyby nie inicyatywa księdza Stelmaszyńskiego, który nie poprzestał tylko na stworzeniu tak wzniosłego projektu, lecz z całą energią zabrał się także do urzeczywistnienia jego.

Niezmordowany w pracy, wszystkie wolne chwile poświęcił na ten cel: chodził, zachęcał, prosił, zbierał składki, najmniejszą ofiarę przyjmował równie chętnie jak i tysiące, aż wreszcie zgromadził trochę funduszów, z których za 6 tysięcy koron nabył grunt pod nową świątynię przy ulicy Agatona Gillera, a z resztą, to jest z 7 tysiącami przystąpił zeszłego roku w maju do budowy kościoła.

Wraz ze wzrostem murów rosła i ofiarność publiczna zbudzona ze snu słowami pełnego zapału księdza, który ostatecznie pokonawszy tysiączne trudności, szczęśliwie ukończył budowę tej świątyni. A ofiary płyną hojnie dalej i płynąć powinny, bo wiele, wiele jest jeszcze wydatków, wiele jest jeszcze do zrobienia, choćby na punkcie liturgicznych potrzeb i wewnętrznego urządzenia kościoła.

Z dniem otwarcia i oddania do użytku pobożnych nowej świątyni, której podobiznę podajemy, ofiarodawcy otrzymają sprawozdanie rachunkowe ze składek i wydatków na ten cel poniesionych i będzie zaspokojona ciekawość publiczna, w jaki sposób zapobiegliwy kapłan mimo trudności finansowych dzieło swe przecież doprowadził do skutku. *(s. b.)*



**Kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Stanisławowie.**

## Poświęcenie sztandaru

### Tow. c. k. Weteranów wojskowych w Oświęcimiu.

Oświęcim poszedł śladem innych większych miast galicyjskich i dzięki inicyatywie ze strony ś. p. Adolfa Kwiatkowskiego, naczelnika tamecznej stacyi kolejowej, powstało tam w r. 1899 Towarzystwo c. k. Weteranów wojskowych dla niesienia sobie wzajemnej pomocy na wypadek choroby lub śmierci któregoś z członków. Dzięki energii i pracy ś. p. założyciela tudzież usiłowaniom, jakich nieszczędzili urzędnicy kolejowi pp. Kurdziela, Majer i inni, niebawem Towarzystwo skupiło w swem łonie przeszło pięćdziesięciu członków i pierwsze lata swego istnienia poświęciło cichej pracy zbierania funduszów.

W krótkim też czasie dzięki sprężystej i oszczędnej administracyi, Towarzystwo ujrzało się w posiadaniu majątku w kwocie tysiąca koron, a mając w ten sposób podstawę dalszego bytu zapewnioną, postarało się o znak, pod którymby się wszyscy skupili, wspominając dawne młode lata — sprawiło sobie sztandar, skromny sztandar z wyobrażeniem Matki Boskiej Częstochowskiej po jednej, a dwugłowym orłem po drugiej stronie.

Dnia 25 zeszłego miesiąca odbyła się uroczystość poświęcenia tego sztandaru.

Rano zebrali się członkowie Towarzystwa w budynku gminnym i poprzedzani przez muzykę wychowanków Zakładu salezyańskiego, ruszyli wraz ze sztandarem do kościoła, gdzie proboszcz miejscowy ks. Szałaśny po krótkiej przemowie o wartości Towarzystwa, w którem gromadzą się ludzie wszelkich stanów i warstw w imię ogólnej miłości, dokonał aktu poświęcenia i wbił pierwszy gwóźdź pamiątkowy. — Z kolei zaczęła się dalsza uroczystość wbijania gwoździ przez pp. Śmieszka, burmistrza miasta, Bibrę, Dąbrowskiego, Mydlarskiego, Rogowskiego, dra Ślusarczyka, prezesa Tow. dra Stanisława Krzyżanowskiego i przez licznie zebranych na tą uroczystość panów oraz panie.

Z kościoła pochód udał się przy dźwiękach kapeli na podwórze klasztoru OO. Salezyanów, gdzie prezes dr. Krzyżanowski złożył wszystkim podziękowanie za popieranie celów tego Towarzystwa.

Rycina nasza przedstawia zszeregowanych przy swym sztandarze weteranów i gości zaproszonych na jego poświęcenie.

Tu wspomnieć musimy, że p. Krzyżanowski położył bardzo znaczne zasługi około rozwoju Towarzystwa i nie mało zadaje sobie pracy, by pod nowym sztandarem skupić jak najwięcej członków.



**Poświęcenie sztandaru Towarzystwa c. k. Weteranów w Oświęcimiu:** Grupa weteranów i gości zaproszonych na tę uroczystość.

# Jarmarki końskie w Krakowie.

Sława Jarmarków końskich w Krakowie z każdym rokiem coraz bardziej traci blask, jaki je dawniej opromieniał. Dziś jarmarki krakowskie, na które dawniej zjeżdżała się prawie cała szlachta galicyjska i zakordonowa, na które zewsząd sprowadzano setki koni, nie są już takie ożywione, nie interesują tak, jak niegdyś, i publiczności krakowskiej i kupców i hodowców koni.

Dawniej jarmarki koło starej, w tym roku zburzonej ujeżdżalni pod Kapucynami były rojne i gwarne. Tu komisye wojskowe zakupywały dla wszystkich pułków remonty, tu pruscy handlarze koni robili grube tranzakcye i wywozili stąd całemi wagonami konie, zostawiając w zamian swe marki i talary.

W ostatnich latach ruch ten zmniejszył się znacznie. Jeszcze podczas wiosennych jarmarków życie koniarskie tętni wcale silnie, ale za to jesienne chorują na gwałtowną anemię.

W tym roku po raz pierwszy jarmark na konie szlachetne odbył się na placu, przylegającym do nowozbudowanej ujeżdżalni p. Targowskiego przy ulicy Rajskiej, stara bowiem ujeżdżalnia pod Kapucynami została zburzona i na jej miejscu stanie gmach Akademii handlowej.

Popyt na konie i dowóz ich był bardzo mały, a komisarz jarmarczny p. Eminowicz wręcz zwrócił się do zarządu miasta z oświadczeniem, że cel jarmarków jesiennych jest chybiony, że jarmarki te już się przeżyły i narażają gminę jedynie na wydatki, nie przynosząc jej żadnej korzyści.



**Jarmarki końskie w Krakowie**: Zburzona przed niedawnym czasem Ujeżdżalnia miejska pod Kapucynami. Fot. Sebald, Kraków.



**O prezydenturę Stanów Zjednoczonych**: Parker, kontrkandydat prezydenta Roosewelta. (Treść na str. 10).

Jak słabym był targ na konie szlachetne, tak samo i na placu Groble niewiele ukazało się koni włościańskich i roboczych, a kupcy dawali za nie tak bajecznie niskie ceny, że ilość tranzakcyi nie przekroczyła nawet cyfry pięćdziesięciu.

Podając to krótkie sprawozdanie z ostatniego jarmarku, zamieszczamy równocześnie podobiznę nowej ujeżdżalni p. Targowskiego, właściciela szkoły jazdy konnej istniejącej już od roku 1899, gdzie obecnie będą się zawsze odbywać targi na konie szlachetne pół i pełnej krwi.

Nie mamy miejsca, aby módz poświęcić wiele słów wspomnieniu starej ujeżdżalni z pod Kapucynów, której reprodukcyę także zamieszczamy.

W każdym razie zaznaczyć musimy, że w historyi kraju i Krakowa należy się jej poczestne miejsce. Tu po zniesieniu księstwa krakowskiego osadzano politycznych więźniów. Tu święcili tryumfy na swych licznych zgromadzeniach socyalni-demokraci. W niej to, po zdobyciu od rządu kuryi powszechnej do parlamentu, postawiono pierwszą socyalistyczną kandydaturę.

Nieistniejące już mury dużo widziały i słyszały...

# Zmiażdżony samochodem.

Sport samochodowy, który, zyskując sobie powoli praktyczne zastosowanie, dotychczas zresztą poza granicami naszego kraju ma głównie wzięcie jako wielkopańska kosztowna zabawka, zaznaczył już swe istnienie długim szeregiem ofiar w życiach ludzkich.

W tym właśnie sportowym, nie zaś praktycznym kierunku zaczynają się u nas aklimatyzować samochody, a aklimatyzacyę tę znaczą niestety krwawymi śladami.



**O prezydenturę Stanów Zjednoczonych**: Roosewelt, obecny prezydent Stanów Zjednoczonych. (Treść na str. 10).

Dość wspomnieć chyba zeszłoroczną katastrofę samochodu p. Polańskiego na szosie pomiędzy Lwowem a Dawidowem, którą przypłacił życiem palacz i lokaj Polańskiego, podczas gdy sam właściciel cudem prawie tylko ocalał.

Od tego czasu kronika „życia samochodów" notowała tylko pomniejsze wypadki.

Aż dopiero dnia 26 z. m. nastąpiła znów straszna katastrofa.

Młody sportsmen p. Jan Fibich spowadziwszy sobie samochód marki Fiat robiący bez wysiłku 80 kilometrów na godzinę, podjął jazdę próbną po gościńcu łączącym Jasło z Krosnem.

Do samochodu który prowadził palacz Włoch, wsiadł pan Fibich w towarzystwie kilku przyjaciół. Mniej więcej koło godziny szóstej przejeżdżano przez Potok. Pomimo, że miejscowość to fabryczna i że o tej godzinie wracają do domów robotnicy z kopalni i rafineryi naftowych, palacz nie zwolnił bynajmniej tempa jazdy, lecz dalej pędził z pełną chyżością 80 kilometrów na godzinę.

Tuż przy gościńcu stał powóz zaprzężony w parę młodych koni, pilnowany przez włościanina ze wsi Długie Krawczyka.

Za zbliżeniem się pędzącego niby wicher samochodu, konie poczęły strzydz uszami i chrapać z przerażenia, więc Krawczyk zeskoczył z kozła i uchwyciwszy za cugle przy wędzidłach chciał je przytrzymać.

W tej chwili rozległ się głos samochodowej tuby... Konie przestraszone szarpnęły naprzód i rzuciły Krawczyka na środek gościńca...

Samochód przeleciał po biednym woźnicy i za chwilę na gościńcu znaleziono tylko bezkształtne zmiażdżone zupełnie ciało jego, nurzające się w kałuży krwi...



**Zmiażdżony samochodem**: Włościanin Krawczyk pod kołami samochodu p. Jana Fibicha.



**Z nad granicy rosyjskiej w Brodach**: Domek po stronie austryackiej w Klekotowie.

Rycina nasza przedstawia chwilę w której samochód w szalonym pędzie przygniata całym swym ciężarem pierś nieszczęśliwego Krawczyka.

## Z nad granicy rosyjskiej w Brodach.

Przyjętemi przez geografów kreskami oznaczyli ludzie na papierze granicę, obwarowali ją całym szeregiem ustaw ujętych w najrozmaitsze paragrafy skarbowe, polityczne, emigracyjne i paszportowe i — kazali innym ludziom przerwać nagle wszystkie stosunki, jakie ich od wieków łączyły...

To jednak, co na papierze nie przedstawiało żadnych trudności, w codziennem życiu mimo czujnych straży i wszelkich wysiłków ze strony urzędów granicznych bardzo często pozostaje jedynie martwą literą prawa.

Niema granicy, na której nie toczyłyby się dzień w dzień polowania granicznych straży na przemytników „szwarcujących“ równie dobrze ludzi jak towary; niema granicy, gdzieby dzień w dzień ta wiecznie ścigana zwierzyna nie śmiała się tryumfująco z pudłowania strażników...

Jednym zaś z pasów granicznych, najbardziej obfitujących w takie wypadki, jest granica rosyjska w Brodach, która krwawemi zgłoskami zapisała się w historyi styczniowego powstania roku 1863.

Granicą tą, odległą od Brodów o cztery kilometry, a rozpoczynającą się w Klekotowie, przeszły na stronę rosyjską w r. 1863 dwie kolumny młodzieży powstańczej, zorganizowane we wschodniej Galicyi i skierowały swój pochód na Radziwiłłów, oddalony od rosyjskiej granicy o jeden kilometer.

A tymczasem w Radziwiłłowie, w drewnianym jednopiętrowym młynie, który do dziś dnia jeszcze stoi, czekali ukryci kozacy. Zaledwie powstańcy wkroczyli do miasta, kozacy wyszli z ukrycia i zająwszy tyły, wpędzili ich na spisy kozaków skrytych w miasteczku. Wzięci tak w dwa ognie powstańcy, gęstym trupem zasłali pole walki a ci, którzy nie zginęli od szabli kozackich, lub nie zostali wzięci, zostali zepchnięci do radziwiłłowskiego stawku, gdzie śmierć znaleźli.

Obecnie na granicy rosyjskiej w Brodach przemytnicy nie mogą się skarżyć na brak roboty. Dzień w dzień szwarcują „żywy towar“ t. j, rezerwistów rosyjskich, którzy bardzo często nawet z rodzinami porzucają swój kraj, byleby tylko uniknąć powołania w szeregi, byleby umknąć przed wojną — toczącą się na dalekim Wschodzie.

Na austryackiej stronie tuż pod Klekotowem stoi mały obszarpany domeczek. To główna stacya, z której emigranci rosyjscy po szczęśliwem przedostaniu się przez pas graniczny odjeżdżają do Brodów, gdzie znajdują chwilowy przytułek w porządniejszym już nieco budynku, zanim puszczą się w dalszą drogę.

Ale życie tych biedaków, dobrowolnie idących na wędrówkę nie ściele się bynajmniej na różach. Co krok to spotykają ich zawody, nieprzyjemności i rozczarowania.

Oto niedawno kradzionym takim sposobem dostała się do Brodów rodzina F., nieźle nawet w grosz zaopatrzona, która stamtąd przez Tryest chciała wyemigrować do Ameryki. Pokonano wszystkie przeszkody, ale w Tryeście władze sanitarne nie pozwoliły biednym emigrantom wsiąść na okręt, bo skonstatowano u dzieci egipskie zapalenie oczu i cała rodzina przybyła z powrotem do Brodów, aby po przeprowadzeniu kuracyi ponownie z lepszym może skutkiem podjąć próbę zdobycia sobie obywatelstwa w Stanach Zjednoczonych.

Ciekawe jest to nadgraniczne życie z całą historyą tych ciągłych cichych tragedyi, a nieraz i tragikomedyi, jakie się tam wciąż rozgrywają!...



**Z nad granicy rosyjskiej w Brodach**: Dom w Brodach, w którym emigranci rosyjscy znajdują chwilowy przytułek.

## O prezydenturę Stanów Zjednoczonych.

Potężne Stany Zjednoczone ogarnęła straszna gorączka wyborcza.

Okres rządów Roosewelta, który po Mac Kinley'u zamordowanym przez anarchistę Czołgosza objął prezydenturę Stanów, dobiega końca i dziś zachodzi pytanie, kto ujmie w swe ręce ster interesów państwa, kto zamieszka w „Białym Domu“, w pałacu prezydentów w Waszyngtonie.

Ameryka północna wre i kipi — ścierają się zdania i poglądy — walka wyborcza toczy się w całej pełni — fabryki i warstaty stanęły prawie, bo wszystko agituje — a każdy z drżeniem oczekuje chwili, w której nareszcie stwierdzony zostanie wynik wyborów, bo ta chwila będzie decydująca o przyszłym losie Stanów Zjednoczonych.

Dlaczego ten wybór ma być taki decydujący?

Dlaczego? Dlatego, że do boju wystąpiły dwa równie potężne stronnictwa, z których każde walczy pod innem hasłem, identyfikując je z nazwiskiem swego kandydata.



**Z nad granicy rosyjskiej w Brodach**: Posterunek ros. straży granicznej w Klekotowie.

„Parker, czy Roosewelt“? to pytanie wstrząsa dziś całą Ameryką, to pytanie stawiają sobie także wszystkie dyplomatyczne sfery mocarstw europejskich, którym wybór i program działań prezydenta tak potężnego państwa, jak Stany Zjednoczone, nie może być obojętny!...

Roosewelta zna cała Europa; dzielny żołnierz, bohater wojny kubańskiej, sekretarz Mac Kinleya, objął po nim odpowiedzialne stanowisko prezydenta Stanów i zyskał odrazu podziw wśród dyplomatów całego świata swoim żelaznym charakterem i zdolnościami dyplomatycznemi, jakich nikt nie spodziewał się po zawodowym żołnierzu.

O istnieniu Parkera świat dowiedział się dopiero wówczas, gdy postawiono jego kandydaturę a i dotychczas nic więcej o nim nie wie, jak tylko to, że jest wyższym sędzią w Nowym Yorku.

Lecz, jak wspomnieliśmy, przy obecnym wyborze nie chodzi bynajmniej o osoby kandydatów, lecz o idee, które oni przedstawiają.

Roosewelt to imperyalizm amerykański, to wcielenie tych politycznych zapatrywań, które kierowały ministrem angielskich kolonii Chamberlainem, gdy tworzył potęgę Wielkiej Brytanii, opierając się na koloniach.

Roosewelt wojnę hiszpańsko-amerykańską uważa za początek polityki kolonialnej Stanów Zjednoczonych. Zajęcie wysp filipińskich, które — że się tak wyrazimy — zapewniło Stanom prawo obywa-

telstwa na wodach wschodnio-amerykańskich według zapatrywań Roosewelta jest pierwszym krokiem do przewagi, jaką Stany dzięki potężnej flocie powinny sobie zdobyć na morzu.

W ten sposób zasada Monroego byłaby z jednej strony dla zagranicy rozkazem, aby nie ważyła się mięszać do spraw amerykańskich, a z drugiej strony dla Stanów przestałaby istnieć jako upomnienie, aby ograniczyły się jedynie do swych posiadłości kontynentalnych i zeszłaby do starej jak świat maksymy politycznej: „czego nie chcesz, aby ci inny czynił, to czyń drugim, gdzie tylko możesz“...

Parker przeciwnie zajęcie wysp filipińskich uważa za najwyższą niesprawiedliwość a sposób postępowania z niemi za zgwałcenie wszelkich praw ludzkich. Jego zdaniem Stany Zjednoczone mają u siebie w domu tyle jeszcze do zrobienia, że nie powinny sił swych rozdrabniać na zewnątrz. Do pracy tej wzywają całe odłogiem i pustką stojące obszary ziemi; tej pracy zbożnej i sprawiedliwej musi on żądać jako sędzia, który zwycięstwo sprawiedliwości wyżej ceni, niż tryumf zaborczego żołdactwa.

Zwycięstwo jednej z tych idei wywoła zatem zasadniczy zwrot w dalszej polityce Stanów Zjednoczonych i dlatego wybór nowego prezydenta wzbudza tak ogromne zainteresowanie nie tylko w Ameryce, ale i Europie, której zaborcza dyplomacya Stanów nie mogłaby być nigdy obojętną, gdyż Ameryka mogłaby dojść na tej drodze do stanowiska tak silnego, że zyskałaby światową przewagę, a nawet prawo słania rozkazów monarchom starej Europy...



**Jarmarki końskie w Krakowie**: Nowa ujeżdżalnia p. Targowskiego przy ulicy Rajskiej. (Opis na str. 9).

## Jenerał Stoessel.

Oczy całego świata są skierowane na daleki Wschód, gdzie rozgrywała się krwawa walka pomiędzy dwoma rasami: białą i żółtą.

Jedni sympatyzują z Rosyanami i ci zachwycają się komendantem Portu Artura jenerałem Stoesslem, który broni się jeszcze ciągle, choć Japończycy obsaczyli go tak od strony lądu, jak i od strony morza.

Sympatye drugich są po stronie Japończyków, ale i ci mimo tych sympatyi. mimo ciągłego oczekiwania chwili, w której depesze doniosą o upadku potężnej twierdzy, Portu Artura, bądź co bądź muszą podziwiać bohaterstwo jenerała Stoessla i ten zapał, jakiem umie on natchnąć swych podkomendnych.

Dzień w dzień grad kul, bomb, szrapneli i granatów leci na twierdzę. Japończycy bombardują ją ze wszystkich stron i wszystkie forty codzień są w ogniu; co dnia piechota japońska z bagnetem w ręku ściera się z załogą rosyjską. A Japończycy mają liczebną przewagę, mogą jednym oddziałom dać spoczynek, podczas gdy drugie idą do szturmu. Dowóz żywności i amunicyi nie znajduje żadnych przeszkód podczas, gdy załoga port-arturska głodna i niewyspana musi walczyć bez przerwy bez chwili wytchnienia.



**Jenerał Stoessel,** komendant twierdzy port-arturskiej.

I walczy, choć mógłby się poddać, walczy do ostatniej kropli krwi z całem poświęceniem, z zaparciem i z pogardą dla życia biorąc przykład z naczelnego wodza, który siebie bynajmniej nie oszczędza i niechroni się za plecy żołnierzy, lecz sam prowadzi ich do boju.

Podając podobiznę tego dzielnego jenerała musimy zaznaczyć, że bądź co bądź, bohaterstwo jego musi wzbudzić podziw u wszystkich.

## Pierwsza w Galicyi bursa
### dla uczniów gimnazyalnych wyznania mojż.

Historyczne miasto Tarnopol zyska w niedalekiej przyszłości nową instytucyę humanitarną, której już choćby dlatego nie można pominąć milczeniem, że jest ona pierwszą w swoim rodzaju w całej Galicyi.

Biedna a żądna wykształcenia polska, ruska i ormiańska młodzież uczęszczająca do szkół średnich, ma podostatkiem burs i innych tego rodzaju zakładów, gdzie albo za małą opłatą albo dzięki ofiarności prywatnej lub też funduszom na ten cel przez Wydział krajowy przeznaczonym, ma dach nad głową i skromne pożywienie: dwie najważniejsze rzeczy umożliwiające jej korzystanie z nauki bez troski o jutro.

Takiej instytucyi żydowska młodzież szkół średnich dotychczas w żadnem z miast naszego kraju nie miała, a brak jej dawał się silnie we znaki — tak silnie, że w pierwszej linii zwróciła na to uwagę, pomna swej ciężkiej doli w czasie studyów gimnazyalnych, izraelicka młodzież akademicka, która nie ograniczyła się jedynie na stwierdzeniu tak przykrego faktu, lecz wezwawszy na pomoc ruchliwy i energiczny wydział „Towarzystwa dla niesienia pomocy“ zdobyła potrzebne fundusze i przystąpiła do budowy pierwszej bursy dla żydowskich uczniów szkół średnich w Tarnopolu.

W drugiej połowie zeszłego miesiąca odbyła się w Tarnopolu uroczystość położenia kamienia węgielnego pod gmach tej nowej bursy.

W uroczystości tej wziął udział starosta tameczny p. Zawadzki i cały szereg wybitnych urzędowych osobistości jak radca dworu p. Stefko, radcy Fraenkel i Schütz, dyrektor Narciszowski i wielu innych.

Podczas uroczystości, którą przedstawia nasza rycina, przemawiali dr. Horowitz, prezes studenckiego stowarzyszenia i dr. Taubeles, nauczyciel religii mojżeszowej, którzy w podniosłych słowach wzywali ogół żydowski do opieki i datków na ten cel humanitarny.

Tak więc uboga młodzież izraelicka zyska wreszcie przytułek, w którym bez trosk i obaw o niepewne jutro, będzie się mogła poświęcić nauce i zdobywaniu tak potrzebnej dziś wszystkim wiedzy.



**Pierwsza w Galicyi bursa dla uczniów gimnazyalnych wyznania mojżeszowego**: Położenie kamienia węgielnego pod bursę żydowską w Tarnopolu. — Fot. Pechter, Tarnopol.

## Koronacya króla serbskiego.

W zeszłą środę odbyła się w Belgradzie koronacya Piotra Karagieorgiewicza na króla Serbii, który wstąpił na tron pod imieniem Piotra I.

Nieodłączny ceremoniał kościelny odbył się w monasterze (klasztorze) św. Zyty zbudowanym jeszcze w wieku XII. W klasztorze tym spoczywają zwłoki dawnych władców Serbii i jest on niejako Panteonem, gdzie Serbowie przechowują troskliwie zabytki i pamiątki odnoszące się do historyi narodu.

Tutaj przygotowują się w skupieniu ducha spędzając czas na modlitwie przyszli władcy do właściwej uroczystości, która się odbywa w katedrze św. Michała.

O wschodzie słońca zagrzmiały działa z fortów górujących nad Dunajem i Sawą a o godzinie ósmej rano ruszył pochód z królem na czele z konaku.

Król ubrany był w mundur jeneralski a na piersiach miał order św. Łazarza z brylantami, ustanowiony jak wiadomo na pamiątkę bitwy na Kossowem Polu.



**Baletowy król**: Cleo de Merode, baletnica.

Pochód poruszał się zwolna wśród wojska ustawionego w dwa szeregi ku katedrze św. Michała, gdzie już czekała na króla starszyzna miasta oraz duchowieństwo z metropolitą Inocentym na czele w otoczeniu wszystkich biskupów.

Kiedy zagrzmiał wystrzał z działa zdobytego przez Karageorgiewiczów w r. 1842. z którego właśnie zrobiono koronę, zaczęła się właściwa uroczystość. Po odprawionem nabożeństwie i wspaniałych śpiewach liturgicznych metropolita włożył na głowę Piotrowi koronę i wcisnął mu w rękę berło, poczem okryto go płaszczem purpurowym przybranym w gronostaje. Następnie ruszył król z katedry przez ulice przepełnione publicznością. Tłumy wznosiły radosne okrzyki, a orszak zwrócił się ku pałacowi królewskiemu ciągle wśród tłumów wiwatujących na cześć króla, jego dwóch synów na koniach a wreszcie na cześć jego córki księżniczki Heleny, której towarzyszył książę Paweł, syn księcia Arsena.



**Koronacya króla serbskiego**: Następca tronu serbskiego ks. Jerzy i brat jego Aleksander w mundurach kaprali serbskiej piechoty.

Po południu król zasiadł w koronie z berłem w ręku okryty płaszczem spiętym złotą sprzączką i przyjął na posłuchaniu uroczystem ministrów, członków senatu i skupczyny, korpus oficerski, członków ciała dyplomatycznego uwierzytelnionych w Belgradzie i wybitniejsze osobistości w kraju.

Pod wieczór zaczęły w ogrodzie królewskim przygrywać muzyki wojskowe różne hymny i pieśni narodowe, a tłum bawił się do późnej nocy.

## Baletowy król.

Afera księżnej Luizy Koburskiej, o której wspominaliśmy w ostatnim numerze, zwróciła uwagę na ojca jej króla belgijskiego Leopolda II., znanego w całej Europie pod nazwą... króla baletowego.

Urodzony w r. 1835, a więc prawie siedmdziesięcioletni już starzec, król Leopold dumną swą gdzieindziej głowę schyla pokornie pod pantofelek baletnicy sławnej Cleo de Merode, a sławnej nie tak z tańca, jak z królewskiego swego kochanka i z szalonej rozrzutności, opierającej swe istnienie na skarbcu królewskim.

I ten siedemdziesięcioletni starzec, zakochany jak jaki młodzik, gorszący swemi erotycznemi zachciankami cały naród, stroi się w szatę wielkiego augura i patryarchy rodu, wytykając swej córce, księżniczce Stefanii „mezalians" jakiego się miała jego zdaniem dopuścić, poślubiając węgierskiego magnata hrabiego Lonyay, lub ciskając gromy na drugą córkę, księżnę Luizę za jej stosunek z Mattachichem, i za to, że nie znajduje przyjemności w pożyciu z mężem, który podochociwszy się przy szampanie sprowadzał swych współbiesiadników do jej pokoi!...

Znany jest jeden z ostatnich występów króla Leopolda — takiem bowiem mianem ochrzcili go z powodu panny Cleo Belgijczycy — który w całym świecie wywołał powszechne a słuszne oburzenie i spowodował nawet na dłuższy czas oziębienie stosunków z dworem austryackim.

Gdy śmierć zamknęła oczy żony króla Leopolda królowej Maryi Henryki, gdy zimne jej zwłoki spoczęły już na katafalku a księżna Stefania pospieszyła, by u stóp jego pomodlić się za duszę ukochanej matki, baletowy król wobec całej grozy śmierci i wobec żalu córki po stracie matki, zabawił się w sprawiedliwego ojca i kazał straży wyprowadzić księżnę Stefanię, jako niegodną zaszczytu modlenia się u zwłok królowej!...



**Baletowy król**: Leopold II., król belgijski.

I teraz baletowy król nie szczędzi poparcia księciu Filipowi w sprawie jego z księżną Luizą i teraz miota on gromy na własną krew, wypowiadając bombastyczne kazania o moralności, z którą sam jest w wiecznej walce. Nic dziwnego! łatwiej przecie zobaczyć belkę w oku bliźniego niż w swojem źdźbełko!... To stara historya!...



**Koronacya króla serbskiego**: Monastyr św. Zyty, gdzie się odbył religijny ceremoniał koronacyjny Piotra I.

## Popis lwowskiej straży ochotniczej „Sokół“.

Walka z tak strasznym żywiołem, jak ogień, jest chyba jedną z najcięższych, ale zarazem najzaszczytniejszych walk, jakie ludzie dobrej woli i pełni zapału toczą w obronie mienia i życia



Popis lwowskiej straży ochotniczej „Sokół“: Walka z ogniem pokojowym.

swych bliźnich. To też na straż ogniową, zwłaszcza na straż ochotniczą, spoglądamy wszyscy z szacunkiem, z ciekawością śledzimy ich rozwój i sprężystość w działaniu, a zarówno rząd krajowy jak i wydziały powiatowe nie wahają się ponosić nawet znacznych wydatków, byleby owe straże, składające się z pełnych poświęcenia obywateli, uzbroić jak najlepiej do tej walki.

Rozwój straży ochotniczych w naszym kraju tak obficie trapionym klęskami pożarów, a posiadającym na całej swej przestrzeni zaledwie dwie stałe straże pożarne miejskie: lwowską i krakowską, nie może być nam obojętny.

Dlatego też nie możemy pominąć milczeniem popisu lwowskiej straży ochotniczej „Sokół“, który odbył się dnia 26 z. m. o godzinie 4 po południu w dziedzińcu koszarowym lwowskiej straży miejskiej wobec grona radnych miasta, delegata Związku straży ochotniczych p. Promińskiego, naczelnika straży miejskiej lwowskiej Prauna i całego tłumu ciekawej publiczności.

Z uderzeniem godziny czwartej na dziedziniec wymaszerowały przy odgłosie trąbki dwa dziarskie plutony ochotników i rozpoczęły ćwiczenia na komendę swego naczelnika p. Złotowskiego.

Po wolnych ćwiczeniach, które popis rozpoczęły, oba plutony stosownie do założenia ustnie podanego przez komendanta, wykonały — jak to nasze ryciny przedstawiają — próby gaszenia ogni piwnicznych, pokojowych i dachowych.



Popis lwowskiej straży ochotniczej „Sokół“: Gaszenie ognia piwnicznego.

Próby te dokładnie wykazały, na jak wysokim szczeblu doskonałości stoi lwowska straż ochotnicza. Strażacy, nagradzani hucznymi oklaskami, jak koty wydrapywali się po drabinach. Każda komenda została w tej chwili z matematyczną niemal dokładnością wykonana — każdy z ćwiczących wiedział, jaki jest zakres jego działania, a zadanie swe spełniał szybko i nader umiejętnie.

Po ćwiczeniach zakończył się popis przemówieniem zastępcy prezesa straży ochotniczej, radnego Neumana, i naczelnika lwowskiej straży miejskiej, p. Prauna, poczem uczestnicy popisu udali się zwartymi szeregami do swego lokalu na skromne przyjęcie, zgotowane im przez miasto.

---

## Ustępujący prezydent rządu krajowego na Bukowinie, ks. Konrad Hohenlohe.

Nominacya prezyd. rządu krajowego na Bukowinie, ks. Konrada Hohenlohego, namiestnikiem Tryestu, nastąpi w najbliższych dniach, a na zastępcę jego w rządzie bukowińskim jest desygnowany dr Regner v. Bleyleben, radca ministeryalny, ten sam, który towarzyszył dr Körberowi w podróży po Galicyi.

Nominacya ks. Hohenlohego miała być projektowaną z początkiem sierpnia b. r., a stanowcza decyzya zapadła podczas pobytu dr. Körbera w Czerniowcach.

Ks. Konrad Hohenlohe, syn b. ochmistrza dworu, urodzony w r. 1863 we Wiedniu, wstąpił po ukończeniu studyów uniwersyteckich do służby politycznej w r. 1888 jako praktykant konceptowy przy rządzie krajowym w Salcburgu. W r. 1894 został starostą w Cieplicach i na tem stanowisku odznaczył się zaszczytnie zręcznym i skutecznym pośrednictwem w szeregu strejków. W r. 1900 powołany został jako kierownik departamentu styryjsko-tyrolskiego do ministerstwa spraw wewnętrznych, a w roku 1903 otrzymał nominacyę na prezydenta rządu krajowego Bukowiny.

Ks. Hohenlohe, który opuszcza po czasie tak krótkim Bukowinę, jest osobistością wyższego nastroju, mężem silnych przekonań i uczuć szlachetnych i śmiało powiedzieć można, że dzieje tego kraju nie wykazują na swych kartach osobistości tak wybitnie indywidualnej. Ks. Hohenlohe podczas krótkiego swego pobytu na Bukowinie odznaczył się niezwykłem zainteresowaniem tutejszymi stosunkami, jak żaden z jego poprzedników i jesteśmy przekonani, że jako mąż niezwykłego zasobu dobrej woli, silnej energii, posiadający wiele zalet osobistych byłby wiele zdziałał dla kraju, gdyby nie ta zmiana naczelnika rządu krajowego.

## Nowomianowany marszałek rządu krajowego na Bukowinie, członek Izby Panów br. Jerzy Wassilko.

Dnia 10 października b. r. zbierze się sejm bukowiński, a w miejsce dotychczasowego marszałka Bukowiny Jana Lupula, zasiędzie na krześle mar-



Popis lwowskiej straży ochotniczej „Sokół“: Strażacy przy gaszeniu ognia dachowego.

szałkowskiem br. Jerzy Wassilko-Serecki, członek Izby panów.

Br. Jerzy Wassilko, najstarszy syn Aleksandra br. Wasilki, b. marszałka rządu krajowego na Bukowinie, rzeczywistego tajnego Radcy i członka Izby panów, urodzony w Berhomecie w r. 1863, odbywał studya swe w gimnazyum czerniowieckiem i w akademii terezyańskiej we Wiedniu.

Na arenę polityczną wstąpił br. Wassilko po raz pierwszy w r. 1894, gdy został wybrany posłem do Rady państwa z grupy większych posiadłości po złożeniu mandatu przez br. Styrcę.

W Radzie państwa należał do klubu rumuńskiego i był zastępcą przewodniczącego tegoż klubu aż do powołania go na członka Izby panów. W r. 1898 został wybrany jednogłośnie posłem do sejmu i należał również do klubu rumuńskiego. Dotychczasowemi swojemi przekonaniami należy on do partyi rumuńskiej konserwatywnego odłamu i starał się zawsze o sojusz partyi rumuńskiej z innemi stronnictwami kraju.

Przy ostatnich wyborach do sejmu szedł ręka w rękę z wolnomyślnymi, którzy stanowić będą większość sejmową złożoną z Niemców, Rusinów i części Rumunów.

O ile mniejszość sejmowa złożona z klubu ormiańsko-polskiego i rumuńskiego będzie mogła liczyć na poparcie marszałka, okażą najbliższe dnie.

Zdaje się jednak, że jak zwykle w podobnych wypadkach mniejszość będzie musiała ograniczyć się na bezskutecznych protestach w obronie reprezentowanych przez się interesów i postulatów swoich wyborców.

A jednak sprawy z góry przesądzać nie można.

Kto wie? może właśnie nowy marszałek nie pójdzie śladem innych ludzi, zajmujących tak odpowiedzialne stanowisko? Może milszą mu będzie słuszna sprawiedliwość, niż partyjne sprawy i ambicyjki?!..

# Wiarołomna żona.

**WSPÓŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.**

2 (Ciąg dalszy).

Podszedł do niej bliżej, tak, że jasne światło lampy padało na jego piękny, szlachetny profil męski i bez strachu mówił otwarcie:

— Ja jednak uwierzyć w to nie mogę, aby kobieta, w której sercu nie wygasły jeszcze ludzkie uczucia mogła się zdobyć na takie okrucieństwo, wypędzić żonę opłakującą zgon męża i ojca oraz jej syna z domu, który jest i pozostanie nam na całym szerokim świecie rzeczą najdroższą i najświętszą!

Rysy Izabelli nabrały jeszcze ostrzejszego i posępniejszego wyrazu, gdy Ryszard mówić rozpoczął, a na jej wąskich wargach igrał ironiczny, okrutny uśmieszek. Potem nagle nastąpiła w niej raptowna zmiana i to w tej właśnie chwili, gdy Ryszard stanął w pełnem świetle lampy. Szare jej oczy duże, bez ruchu zatrzymały się na jego twarzy. Ostrość rysów i ironiczny uśmiech zniknęły z jej twarzy, aby ustąpić miejsca ciekawie zdziwionemu, prawie zdumionemu wyrazowi.

— Mój Boże! Zupełnie te same rysy twarzy, co u Brunona, szepnęła skrzywiając boleśnie usta. Mam wrażenie, że on sam we własnej osobie stoi tutaj przedemną znowu, tak, jak niegdyś, dawno — bardzo dawno!

Ryszard, który zauważył tę zmianę w wyrazie twarzy Izabelli, sądził, ze to jego słowa wywołały to korzystne wrażenie, więc ośmielony zaczął na nowo:

— Łaskawa Pani! Przychodzę do Pani z prośbą o oszczędzenie i względy. Czyż cios, który nas dziś dotknął nie jest dość straszny? Głos jego drżał, a on sam z trudem tylko zdołał opanować wzruszenie.

— Pani kochała niegdyś mojego dobrego ojca. Jeżeli to jest prawdą, to przecież serce Pani nie pozwoli na to, aby bez litości zgubić tych, którzy sercu jego byli najbliżsi.

— Tak? Tak pan baron sądzi? szepnęła po chwilowej przerwie ze straszną goryczą w głosie.

— Sądzi pan rzeczywiście, że powinnam być względną? A czy pan nie wie, co mi rodzice pańscy wyrządzili za krzywdę? Czyż miałabym się wyrzec zemsty? Nigdy! — syknęła zapalczywie.

— Łaskawa Pani! Pani nie ma powodów do zemsty.

— Co pan mówi? — zawołała powstając nagle, a wysoka jej postać dumnie się wzniosła, podczas gdy w oczach jej dzikie zajaśniały błyski. — Ja nie mam powodu? — Ale cóż pan wie o przeszłości? Panie baronie! — zawołała — dwadzieścia pięć lat nie zdołało przygasić we mnie płomieni nienawiści. Z tego pan może wywnioskować, jak straszną była wobec mnie wina rodziców pańskich. Przyszedł pan naprożno. Ja nie mogę i nie chcę przebaczyć ani zapomnieć.

— O łaskawa pani — pani jest niesprawiedliwa w swej nienawiści, zawołał ze szlachetnem oburzeniem. — Jeżeli ojciec mój wyrządził pani jaką krzywdę, to przecież obowiązkiem chrześciańskim jest przebaczyć zmarłemu. A już zupełnie nie może pani robić mnie i mojej niewinnej matki odpowiedzialnymi za to, co przed ćwierćwiekiem w gruzy zburzyło szczęście pani!

Znowu przebiegło po twarzy Izabelli, jakieś nerwowe drganie. Patrzała na Ryszarda palącem spojrzeniem i rzekła dziwnie łagodnie i żałośnie:

— Widzę z tego wszystkiego, że matka pańska nie powiedziała panu wszystkiego. Niechże więc pan posłucha, jak haniebnie mnie ojciec pański zdradził i opuścił, dla pańskiej matki.

— Niech się pani pohamuje. Pani rzuca oszczerstwo na mojego ojca! zawołał wzburzony. Nie mógł on pani pojąć za małżonkę, ponieważ pani nie kochał!

— A jednak ja byłam niegdyś gwiazdą na niebie jego miłości — zaśmiała się Izabella spazmatycznie. — I gdyby pańska matka nie była stanęła między nami, rzeczy by inny obrót przybrały. Pan mówi, że mnie ojciec pański nie kochał, a jednak istnieje dotąd żywy dowód jego miłości dla mnie na świecie.

— Jak? Jak to pani rozumie? rzekł jąkając się przerażony Ryszard.

— Czy pan nic jeszcze nie słyszał o swojej siostrze panie baronie? rzekła Izabella z gorzkim posępnym uśmiechem.

— Boże wszechmogący! zawołał Ryszard w strasznem przerażeniu. Czy ja panią rozumiem dobrze? Czy ja słyszę dobrze?

— Czy matka pańska nie zdradziła panu tej tajemnicy?

— Moja matka? Przecież ona taksamo, jak ja, nie wie o niczem.

— W takim razie ojciec pański milczał — aż do samej śmierci!

— O to nie możliwe! Nie wierzę w to. Ojciec mój nie mógł o tem wiedzieć.

— A jednak musiał wiedzieć! Pisałam mu o tem wtedy, gdy pańska matka była już jego żoną!

— W takim razie ojciec mój nie otrzymał listu pani, to jest rzeczą jasną, zawołał Ryszard przejęty strachem.

— Litościwy Boże! Czy jednak pani mówi prawdę? mówił dalej wstydliwym tonem. Kto jest córką pani? Czy jeszcze żyje, i gdzie się znajduje?

— A więc panie baronie, dawna artystka Klaryssa Hagen, obecna małżonka najwyższego ochmistrza dworu Sternegga — jest pańską siostrą!

Jak wryty stał Ryszard niemy z przerażenia i patrzał w poważną chmurną twarz Izabelli.

— Niemożliwe — wyszeptał po kilku sekundach mocno wzruszony i wzburzony.

— Pan wątpi — panie baronie, ponieważ Klaryssa nie nosi mojego nazwiska, ale nazwisko Hagen? Innym razem to panu wyjaśnię, dlaczego się tak stało. Na dzisiaj nie mówmy o tej smutnej przeszłości. Myślmy o teraźniejszości i mówmy dalej o interesie, jaki pana do mnie sprowadził. Czego pan żąda odemnie?

— Mój Boże! szepnął Ryszard, opanowując z trudem wzruszenie i przeciągnął ręką po wilgotnem obliczu; jakby chciał zebrać swe myśli.

— Czego ja żądam? Czy muszę to pani jeszcze na nowo wyjaśniać? Czy pani teraz nie widzi sama, że pani nie ma powodu do nienawiści i zemsty?

— Pan sobie więc życzy, aby wszystko zostało po staremu? zapytała Izabella łagodnym głosem.

— Pragnąłem tylko panią prosić, ażeby pani miała dla nas cierpliwość, wyjąkał szybko, zmieszany.

— Ja obejmę spadek po ojcu i zapewniam panią mojem słowem honoru, że tak procenta jak i dług regularnie będą spłacane.

Nic nie mówiąc na to, przystąpiła Izabella nagle do biórka, wydobyła zeń cały stos papierów i wróciła z nimi do młodego człowieka śledzącego niespokojnie jej ruchy. Rozłożyła ona przed nim papiery na stole i rzekła:

— Oto wszystkie długi hipoteczne i weksle prywatne zaciągnięte na rycerski majątek Adlersfeld. Reprezentują one pełną wartość majątku wraz z inwentarzem, a kto jest właścicielem tych papierów i weksli zaopatrzonych podpisem ojca pańskiego, ten jest zarazem właścicielem całego pańskiego majątku panie baronie.

— Sądzę, że pan mi to przyzna, panie baronie, bo jak pan widzi są tu wszystkie weksle ojca pańskiego.

— Tak! Pańskie długi są zaspokojone. Czy pan zadowolony panie Adlersfeld?

Ryszard stanął jak wryty i patrzał na tę dziwną kobietę z dzikiem zdumieniem. Po chwili krew uderzyła mu do twarzy, wargi jego drżące najgłębszem wzruszeniem drżeć mu poczęły nerwowo. Nagle rzucił się na kolana przed Izabellą i wzruszony zaczął całować jej ręce. Ta jednak szybkim ruchem odepchnęła go z udaną surowością od siebie, i wzbraniała się przyjąć jego podziękowania.

— Ani słowa więcej. Proszę pójść do domu panie Adlersfeld — rzekła pierwotnym zimnym tonem.

Może pan powiedzieć swej matce, że teraz rachunek między nami wyrównany na zawsze — ale zawołała nagle za Ryszardem, który w drzwiach się już znajdował. — Byłabym zapomniała o rzeczy najważniejszej. Jeszcześ pan nie jest w zupełności panem dziedzictwa ojcowskiego. Zapisałam pański majątek mej córce. Musi pan iść do niej natychmiast i zapis z rąk jej wydobyć. Proszę jednak zwrócić uwagę na to, że Klara niema najdrobniejszego pojęcia o tem, iż jest moją córką a zarazem pańską siostrą. Nie chcę także, żeby się o tym fakcie już teraz dowiedziała. Uważa ona mnie za swoją ciotkę. Proszę się do tego zastosować panie baronie. Po tych słowach Izabella dała mu niecierpliwie znać, żeby odszedł już sobie. Jakby w jakiś dziwny sen pogrążony skierował Ryszard ku drzwiom swoje kroki.

W przedpokoju czekała nań „czerwona Maryna“ aby go wyprowadzić z domu. Chytra jej twarz zdradzała skrytą jakąś nienawiść, tak jakby była podsłuchała całą rozmowę i nie była wcale zadowoloną z jej wyniku.

Skoro się tylko furtka ogrodowa za nim zamknęła, odetchnął Ryszard głęboko z pewnem uczuciem ulgi.

Teraz zrozumiał dopiero znaczenie powodzenia, jakie w tej godzinie osiągnął, i z sercem przepełnionem radością, spieszył do domu rodzinnego aby złożyć tam sprawozdanie ze swego poselstwa przed matką, która czekała nań z utęsknieniem.

Samotny dom Izabelli stał znów cichy i opuszczony w cieniach nocy. Tylko z pokoju Izabelli jaśniało światło lampy. Nagle światło to zagasło a w poświst jesiennego wiatru wmieszał się nagle krzyk straszliwy, przeraźliwy.

Jakaś ciemna postać rzuciła się z domu, ku drodze koło lasu, prowadzącej do leśniczówki. Była to „czerwona Maryna“ pędząca z przeraźliwym krzykiem:

— Na pomoc! Na pomoc! Mordercy! — Moja biedna pani została zamordowaną!“

A tam, w swym pokoju leżała postać Izabelli bez duszy, cała w krwi skąpana...

## III.

### Straszne odkrycie.

— Mój Boże! mój Boże! nie opuszczaj mnie! Pomóż mi odwrócić od nas straszliwe nieszczęście, jakie nam wszystkim zagraża.

Tak łkała Hania w strasznej męczarni zwątpienia.

Jakże długo to potrwa, zanim ojciec do domu powróci. Cóż mu miała powiedzieć, jak wytłumaczyć nieobecność Klary? Czyż wypadało jej już teraz odkryć ojcu tę straszną nagą prawdę? Nie! Żadną miarą! Bo przecież w takim razie sprowadziłaby to nieszczęście, które za wszelką cenę odwrócić pragnęła.

O jakżeż pięknie przedstawiała sobie Hania swoją przyszłość. Jutro, w dzień imienin ojca zamierzała mu wyjawić słodką tajemnicę swego serca, chciała mu powiedzieć, że jest narzeczoną przystojnego młodego barona Ryszarda Adlersfelda.

Jakżeż byłby się ucieszył ojciec wyborem swego dziecka, on, który zawsze mówił z największem uznaniem o młodym przedsiębiorczym Ryszardzie, a któremu pragnęła oddać swą rękę i serce. Ach, jakżeż była szczęśliwą, kiedy o nim pomyślała.

— Ojcze niebieski — modliła się żarliwie — strzeż i ochraniaj me szczęście, zachowaj mi tego, którego tak głęboko z całem sercem kocham.

— O jakąż Klara była kobietą, bez serca i sumienia! Nie dość, że tak haniebnie zdradzała swojego męża i plamiła honor jego nazwiska i jej własne szczęście niszczyła, ale postąpiła jeszcze jak wyrodna matka wobec swego biednego niewinnego dziecka, które tam w pokoju, złamanym głosem i chore wyciągało rączki z płaczem za swoją matką.

Hani serce się krwawiło z bolu i żalu. Wielki Boże! Coby to było, gdyby dziecko umarło w tej właśnie chwili, kiedy matka jego leżała w uściskach swego uwodziciela!

Dzikim strachem opanowana rzuciła się Hania ku oknu. W tej chwili od strony szopy na podwórzu, zbliżał się starszy mężczyzna w kurtce myśliwskiej i wysokich butach. Prowadził on parę osiodłanych koni na tręzli i zbliżał się ku otwartemu oknu, w którem stała Hania. Hania poznała w tym człowieku stajennego swego ojca Trautmana! I on spostrzegł ją, bo głosem wesołym zawołał w stronę okna:

— Czy pani wie już o wszystkiem panno Haniu? Pan nadleśniczy dziś przybywa do domu. Właśnie nadszedł od niego telegram. Proszę niech go pani odda starszej pani. — Ja muszę spieszyć na kolej i czekać nań z koniem.

Hanię ogarnęło jakieś nieme przerażenie. Ogarnął ją jakiś zimny, trawiący strach. Jej ojciec przybywa — a Klara? — Wielki Boże!

— Trautmann! — Na miłość boską! Trautmann! Ale Trautmann pędził już w dal na koniu ku kolei.

Wtedy przerażone dziewczę rzuciło się za nim w pogoń, jak spłoszona sarna. Ale naprożno. W oddali grzmiały tylko końskie podkowy — a Trautmann pędził ku kolei nie słysząc wcale wołania Hani.

* * *

Gdy Klara poznała człowieka, który jej tak niespodzianie zaszedł drogę w ogrodzie, zawołała w tonie najwyższego zakłopotania i przymuszonego zdziwienia:

— Mój Boże! To pan baron, Ryszard Adlersfeld! Jakżeż mnie pan przestraszył! Czego sobie pan życzy?

— O łaskawa pani! Błagam panią, niech mi pani daruje parę minut rozmowy! wołał Ryszard tonem gorącej prośby i nerwowo ujął Klarysę za rękę.

— Zaklinam panią niech mnie pani wysłucha! Muszę koniecznie z panią pomówić.

— Ze mną? odezwała się szyderczo Klaryssa. Opanowała się szybko i wiedziała, że jej ze strony Ryszarda nic nie zagraża.

— Pan się pomylił w osobie, panie Adlersfeld. Pan chce mówić z Hanią!...

— Nie! — Nie! W tej chwili nie! Ale chodzi tu o szczęście moje i Hani, łaskawa pani. W pani ręku leżą losy nasze. Pani je może zachować i zburzyć. O! Pani wie dobrze, że serca nasze zgodnym biją chórem i że ja ją kocham nad życie.

— Tak? Więc pan chce, żebym była u ojca Hani pośredniczką waszą i przemówiła za wami?

— Nie, nie oto pragnąłem prosić łaskawą panią. Ach — przychodzę w tej chwili od ciotki pani, od pani Izabelli Kronberg i...

— Ach tak. Ciotka moja posłała pana do mnie panie baronie? Rzekła Klaryssa zmienionym tonem. Tak, to co innego. Nie mam wprawdzie w tej chwili czasu, ale proszę, wejdźmy do altany!

Poszła naprzód, a gdy oboje znaleźli się naprzeciw siebie w altanie, rzekła z naciskiem.

— A więc, co mi pan chce powiedzieć panie baronie?

— Łaskawa pani! Jak już wspomniałem, leży w mocy pani szczęście moje i Hani — rzekł Ryszard serdecznym tonem. Mój biedny ojciec dziś umarł, ja obejmę po nim ojcowskie dziedzictwo.

Pozostałem więc żebrakiem, bo pałac i wszystko, co do niego należy, wskutek tego zapisu ciotki są własnością pani! Lecz mimo to, ja nie tracę nadziei i nie zwracam się do twego rozumu lecz do serca, bo nawet przypuścić nie mogę, żeby pani chciała szczęście Hani i moje w gruzy rozwalić!..

Zanim jednak Klara zdążyła mu dać jakąś odpowiedź, pod altanką rozległ się szelest cichych kroków, którego ani Klara ani młody baron nie dosłyszeli.

Była to biedna Hania, która wracając do domu musiała przechodzić koło altanki.

Do uszu jej doleciał cichy szept rozmawiających w altanie.

Poznała głos swej macochy i w tej chwili cała groza sytuacyi nasunęła się jej na myśl.

— Boże!...—pomyślało biedne dziewczę — to pewno Klara... tak, to Klara!... poznałam głos jej... Klara — i to ze swym kochankiem... z księciem-kochankiem!... I cóż teraz się stanie, gdy ojciec nadjedzie?!...

I przez biedną, tylu troskami skołataną główkę Hani przemknęła jej nagle myśl, że, choćby tylko dla zaoszczędzenia ojca, trzeba bądź co bądź zapobiedz katastrofie.

Namysł ten trwał tylko chwilę i Hania powzięła odrazu silne postanowienie:

— Ostrzedz ich! Tak niech się dzieje, co chce, ale choćby ze względu na mojego kochanego ojca ostrzedz ich muszę!...

— A więc — szepnęła już całkiem zdecydowana Hania — niech się dzieje co chce!..

I wyrzekłszy te słowa wbiegła do altanki...

Wbiegła – spojrzała — i w tej chwili ucieкła zalewając się gorzkiemi łzami...

Dlaczego? ach bo w altanie dostrzegła Klarę, Klarę, promieniejącą całą swą szatańską pięknością z wzrokiem czułym utkwionym w młodego ślicznej urody mężczyznę, który całując ją po rękach jak szalony błagał cichutko:

— Klaro! Klaro! niechże pani nas oboje nie strąca w przepaść!... Niech pani nas nie ściga swą zemstą!...

— Boże! Ryszard! to Ryszard! — prawie że niedosłyszalne łkanie odezwało się z jej piersi i biedne dziewczę niby szalone poczęło uciekać.

— Więc to tak? więc to ten Ryszard, który był zawsze dla niej wcieleniem męskiej szlachetności, wzorem uczciwości, w tak podły sposób sobie z nią postępuje? Więc ten Ryszard, któremu ona z taką ufnością za czułe słówka płaciła najserdeczniejszą miłością, teraz podeptał tę miłość dla pięknych oczu jej macochy!...

— A tymczasem biedny tak niewinnie przez Hanię posądzony Ryszard dostrzegł jej wejście zauważył tę nagłą ucieczkę i przeczuwając, że w sercu jego pieszczotki musiało zbudzić się jakieś straszne podejrzenie, pozostawiwszy Klarę, pospieszył za umykającą Hanią.

— Haniu! Haneczko! zaczekaj! Wysłuchaj mnie — woła Ryszard, ale Hania nie chce go słuchać, bo jej zdaniem dość już widziała i słyszała i pewna jest, że Ryszard ją zdradza.

Jednem tylko pragnieniem tętni jej serce: skryć się gdzieś w samotności i tam wypłakać swą boleść.

Ale i w domu nie może znaleźć tej upragnionej tak samotności. Zaledwie bowiem weszła do przedpokoju natknęła się na pokojówkę Klary, która powitała ją okrzykiem:

— Ach Boże! dobrze że choć panienka przyszła! Janeczek jest taki chory, że na gwałt trzeba posłać po lekarza!...

Hania odesłała ją do dziecka a sama tymczasem szybko pobiegła do czeladnej izby, skąd wydawszy polecenie w sprawie przywołania lekarza, czemprędzej pospieszyła do swego ukochanego braciszka.



A wśród tych wszystkich trosk, nieszczęść i kłopotów, jakie w tym dniu spadły na jej główkę jedno tylko cały czas stało jej przed oczyma, jedno nie chciało zejść jej z myśli a mianowicie, jak straszna nastąpiłaby katastrofa, gdyby teraz nadjechał jej ukochany ojciec i odkrył całą niecną zdradę Klary.

— To też siedząc przy łóżeczku Jasia, który się rzucał w gorączce, i uspokajając chorą dziecinę pilnie nadstawiała uszu i łowiła każdy szelest jaki się dał słyszeć na dziedzińcu.

I nagle drgnęła. Dosłyszała tentent koni.

— Boże Wszechmocny! to pewnie ojciec! zawołała i wybiegła szybko na ganek, przed którym dwóch jeźdźców zsiadało już ze swych wierzchowców.

— Ojczulku! mój kochany ojczulku!

I Hania rzuciwszy się jednemu z jeźdźców na piersi poczęła okrywać jego ręce pocałunkami.

— Jak się masz Haneczko! Cóż tu słychać? Co porabia Jasio?

To rzekłszy Sternegg ucałował córkę w czoło i pozbierawszy zawiniątka przytroczone do siodła rzeźkim krokiem wszedł do pomieszkania.

Przypatrzmy się bliżej ojcu Hani.

Był to wysoki barczysty mężczyzna o pięknej choć ogorzałej twarzy okolonej lekko już siwiejącą brodą i nie wyglądający wcale na to aby mógł nazajutrz obchodzić pięćdziesiątą rocznicę swych urodzin. W jego siwych oczach malował się wyraz dobroci, a głęboka bruzda przecinająca mu czoło świadczyła, że w razie potrzeby ten człowiek potrafił się zdobyć na żelazną wolę, przed którą każdy musiał się ugiąć i być jej posłuszny.

Nadleśniczy nie czekając nawet na odpowiedź Hani pospieszył do bawialnego pokoju. Pilno mu było zobaczyć ukochaną żonę i synka, który był jego największą dumą i troską.

Lecz zanim jeszcze zdołał zapytać się o najdroższe jego sercu istoty, Hania objęła go za szyję i wśród pocałunków zaczęła się skarżyć:

— Chwała Bogu żeś wreszcie przyjechał ojczulku, bo my tu bez ciebie rady sobie dać nie możemy... Janeczek zachorował ciężko i...

Sternegg nie słuchał dalej. Jak szalony odtrącił Hanię i pobiegł do pokoju, gdzie chore dziecko majaczyło w malignie.

Na pierwszy rzut oka poznał, że najgorszych skutków można się spodziewać, jeśli natychmiast nie zawezwie się pomocy lekarskiej, a przerażony widmem śmierci, jakie dostrzegł krążące nad łóżeczkiem swej ukochanej dzieciny upadł na kolana i złożywszy ręce do modlitwy zaczął błagać Boga o litość:

— Panie Wszechmocny! ulituj się nademną i nie zabieraj mi tej mojej jedynej najdroższej pociechy. Racz cios ten odwrócić odemnie o co cię błagam w imię męki twego Najświętszego Syna, Zbawiciela naszego!..

Lecz wśród tej gorącej modlitwy zbudził się w nim zawsze skory do czynu mężczyzna. Złożywszy więc na czole znak Krzyża świętego szybko podniósł się z klęczek i spojrzał dokoła.

— Gdzież jest Klara? gdzie moja żona?! — zapytał rozdrażnionym głosem pokojówkę Rózię i Hanię, – Czemuż na miłość boską dotychczas nie posłaliście po lekarza?...

Róża ze wzrokiem pełnem obawy milcząc spojrzała na Hanię, jakby chciała od niej dowiedzieć się, jaką ma dać na to pytanie odpowiedź.

— Och, ojcze! — odezwała się płacząc Hania — robisz nam niesłuszny całkiem zarzut, bo po lekarza posłaliśmy zaraz, ale parobek poszedł piesz, więc najprędzej powróci z doktorem chyba za jakie dwie godziny...

— Pieszo?!... oburzył się Sternegg — a to dlaczego pieszo? Czemu nie posłaliście powozu? Nie! doprawdy nie pojmuję, jak można było chorobę Janka tak lekceważyć!... Jeśli już ty nie miałaś na tyle rozumu, żeby dostrzedz, jak wielkie niebezpieczeństwo zagraża życiu twego brata, to przynajmniej Klara powinna była to odczuć!.. Ale dlaczegoż jej tu niema? Gdzie ona jest Haniu?...

Piersią Hani wstrząsnął straszny płacz, pełen bezbrzeżnej rozpaczy. Teraz ojciec musi się o wszystkiem dowiedzieć...

— Gdzie ona jest ojcze?... ona wyjechała!...

— Wy... je... cha... ła?!...

Sternegg stanął jak skamieniały.

— Wyjechała! Gdzie, po co, na co, dlaczego?

To pytania jak błyskawice krzyżowały mu się w głowie i nagle, jakby jakim przeczuciem wiedziony, jakby pewny odkrycia tej dręczącej go zagadki, nie patrząc już na swego chorego syna wbiegł do pokoju żony.

Za nim pospieszyła Hania.

— W buduarze Klary z nieporządku w jakim wszystkie przybory toaletowe były porozrzucane, każdy mógł łatwo odgadnąć pospiech z którym wybierała się na tę tajemniczą wycieczkę.

Sternegg stał chwilę i milcząc spozierał to na suknię Klary porzuconą na krześle, to na szczotki i grzebienie wsunięte w jeden kąt na gotowalni przed lustrem.

W tem błyskawica zaświeciła w jego oczach. Szybko schylił się i podniósł z dywanu mały kawałek białego bristolu, lecz zaledwie przeczytał pierwszych parę słów, z piersi jego wyrwał się dziki krzyk rozpaczy, a na twarzy odmalowała się taka boleść, że Hania nie mogła nawet poznać swojego ojca.

Silny mężczyzna chwiał się na nogach jak słabe dziecię i zapewne byłby runął na ziemię gdyby go córka nie była podtrzymała. C. d. n.

# Z wojny rosyjsko-japońskiej.

## Sytuacya na placu boju.

W ostatnim numerze naszego pisma staraliśmy się naszkicować krótko historyę wojny rosyjsko-japońskiej w głównych zarysach dotychczasowego jej przebiegu.

Dziś przypada nam inne już całkiem zadanie; dziś musimy z tygodnia na tydzień podawać te tylko wieści, jakie w tym czasie przychodzą z placu boju i co do których mamy pewność, że nie polegają one na bezpodstawnych plotkach prywatnych korespondentów.

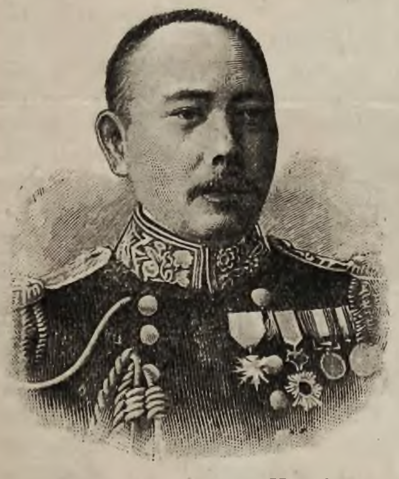
I dlatego w tym tygodniu mamy bardzo nie wiele do zanotowania.

Obie strony wojujące bynajmniej nie spieszą się do walnej bitwy — obie zbierają nowe siły, a stare krzepią tylko. Z telegramów, jakie angielska agencya Reutera i francuska Havasa nadsyłają, dowiadujemy się o całym szeregu drobnych utarczek i potyczek, jakie na linii Jantay-Tieling - Mukden staczają przednie straże japońskie ze strażami tylnemi armii rosyjskiej.



Z wojny ros.-jap.: Walka straży kolejowej mandżurskiej z Chunchuzami.

Wyraźnie zaznaczamy „z tylnemi strażami armii rosyjskiej", gdyż cały szereg pism mylnie stanowisko straży rosyjskich nazywa strażą przednią; z chwilą bowiem kiedy jenerał Kuropatkin podjął odwrót z Liaojanu do Mukdenu, armia japońska może się spotykać jedynie z tylnemi strażami kolumn rosyjskich, z natury rzeczy potężniejszemi niż straże przednie, gdyż co chwila mogącemi spotkać się oko w oko z nieprzyjacielem.



**Z wojny ros.-jap.: Adm. Kamimura** komendant eskadry japońskiej na wodach władywostockich.

Walna bitwa, albo pod Mukdenem, albo w okolicach Tienlingu, każdej chwili jest spodziewaną i nawet być może, że w obecnej chwili już się toczy, tylko, że obie strony — jak to było w bitwie pod Liaojanem — aż do stanowczego jej rozegrania się nie przepuszczają żadnych o tem wiadomości.

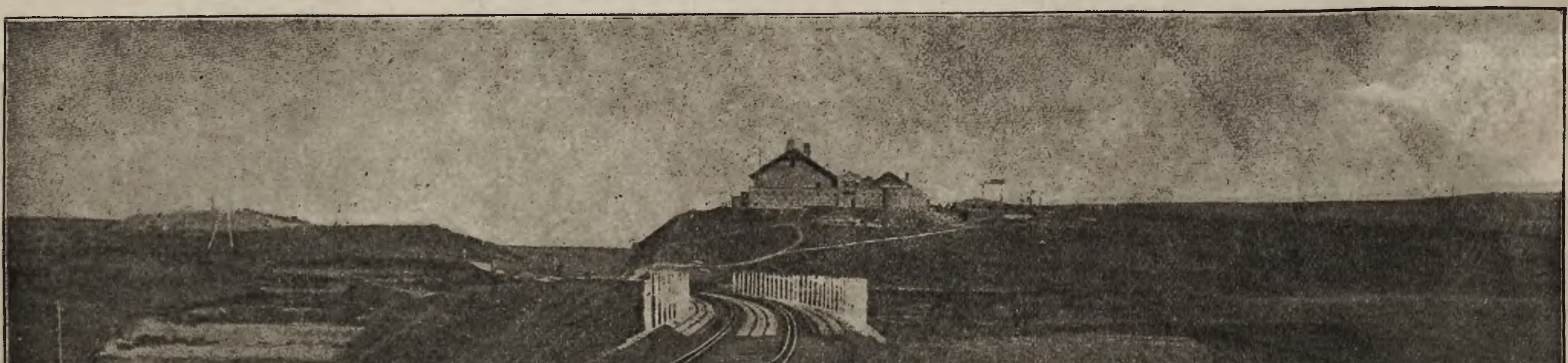
Jaki będzie wynik tej wielkiej walki?

Na to pytanie trudno dać z góry odpowiedź, choć, jeśli mamy wierzyć enuncyacyom korespondentów francuskich, którzy twierdzą, jakoby jenerał Kuropatkin rokował sobie zwycięstwo dopiero na równym terenie, przypuszczać należy, że i z pod Mukdenu cofnie się armia rosyjska, zostawiając Japończykom pole, gdyż Mukden leży jeszcze w górzystej części Mandżuryi.

Wspomnieć wypada i o tem, że rząd chiński zwrócił się tak do jenerała Kuropatkina jak i do japońskiego feldmarszałka Oyamy z prośbą, żeby oszczędzali Mukden i walkę, jaka tam się ma stoczyć, przenieśli na inny teren, gdyż w Mukdenie mogłyby ponieść znaczne szkody historyczne grobowce cesarzów chińskich.

Gdyby obaj wodzowie uwzględnili tę prośbę rządu chińskiego, najbliższa spodziewana bitwa rozegrałaby się pod Tienlingiem.

Zdaje się jednak, że pobożne życzenie Chin nie zostanie uwzględnione.



Z wojny ros.- jap.: Droga kolei żelaznej prowadząca do Mukdenu.

**Pogłoski.** Dla ścisłości nie można pominąć milczeniem pogłosek, jakie dochodzą wciąż z głównego placu boju. Pierwsza z nich, donosząca o całkowitem odwołaniu wicekróla Aleksiejewa — jak się pokazało — jest wprost z palca wyssana.

Ciekawe i nie stwierdzone są natomiast dwie inne.

Według jednej z nich zwycięski admirał Kamimura miał otrzymać od mikada rozkaz podjęcia blokady portu władywostockiego.

Gdyby Japończycy istotnie myśl tę podjęli i gdyby zdołali ją przeprowadzić, staliby się panami całej północno-wschodniej części Oceanu Spokojnego.

Druga ciekawa pogłoska dotyczy resztek eskadry portarturskiej.

Oto według niej admirał Wiczen miał dostać wprost z Petersburga rozkaz, aby bądź co bądź przerwał blokadę podjętą przez admirała Togo i raczej dał wszystkie okręty swe zatopić, niż, żeby Japończycy weszli w ich posiadanie.

Pogłoski te, bardzo ciekawe, dotychczas się nie sprawdzają. Być może, że są one osnute jedynie na tle... bujnej fantazyi rozmaitych korespondentów wojennych, których bardzo wielu na terenie obecnej wojny.



**Z wojny ros.-jap.: Admirał Togo** komendant eskadry japońskiej. blokującej Port Artura.

## Kolej syberyjska

Wśród szeregu walk, jakie o każdą piędź ziemi toczą się na dalekim Wschodzie, najkrwawsze potyczki to są te, które staczać musi straż kolejowa mandżurska z Japończykami i Chunchuzami dążącymi do zniszczenia Moskalom toru kolejowego. Japończycy wiedzą jak ważną w strategice rosyjskiej jest ta jedna jedyna linia kolejowa dostarczająca armii jenerała Kuropatkina posiłków



Atak kozaków: Kozacy uderzający z dowódcą na czele na nieprzyjaciela.

w ludziach, w amunicyi i w żywności. Wiedzą o tem, to też wytężają wszelkie siły, aby tylko przerwać komunikacyę na tej linii i aby kolej przestała nie tyle istnieć, jak spełniać bodaj przez pewien czas swoje zadanie.

A że samym Japończykom trudno jest dotrzeć do linii kolejowej, więc wyręczają się bandami Chunchuzów, których prowadzą oficerowie japońscy.

Chunchuzi to straceńcy! Wiedzą, że zginą najokropniejszą śmiercią, gdy żywcem wpadną w ręce Rosyan, więc biją się do upadłego, przenosząc śmierć w walce nad śmierć z ręki kata.

Z tego powodu walki na linii kolejowej należą do najzaciętszych. Przeciwnicy nie dają sobie pardonu i nie żądają go wcale.

Jedna z naszych rycin, wykonana według szkicu angielskiego rysownika, przedstawia właśnie taką walkę straży kolejowej mandżurskiej z Chunchuzami.

## Atak kozaków.

Wojska kozackie oddają Rosyi w wojnie z Japonią wielkie usługi; używani są oni przeważnie do niewielkich podjazdów, do zasięgania języka i do mniejszych utarczek z forpocztami nieprzyjacielskiemi.

Na małych zwinnych koniach ukraińskich uzbrojeni w piki, któremi lepiej władają, niż bronią palną, napadają kozacy na wojsko nieprzyjacielskie i siłą impetu, z jakim wykonywują wszystkie ruchy, zmuszają nieprzyjaciela do cofnięcia się lub do utarczki w nieładzie.

Rycina na tej stronie przedstawia atak kozaków, którzy zwartym szeregiem w wyciągniętej kolumnie pędzą naprzód, podnosząc tumany kurzu przed sobą.

Na czele oddziału pędzi pośrodku dowódca oddziału, z jednej strony trębacz oddziałowy, a z drugiej żołnierz z bębnem. W wojnie z Japonią bierze udział około 20.000 kozaków, którzy lubo noszą



Z wojny ros.-jap.: Rosyjski kozak.

miano „nieregularnych“ są bardziej bitni i więcej z rzemiosłem wojskowem obeznani, niźli żołnierz liniowy — „regularny“. Bo też kozak życie całe prawie przepędza na koniu! Już w młodości swej na bujnych błoniach kozaczyzny harce na koniach wyprawia, a gdy do lat siedmnastu dojdzie, na własnym koniu do wojska się zaciąga i lat kilkanaście w niem dobrowolnie służy. Przyzwyczajony do niewygód, do nietęgich dróg, do słoty i kurzawy, do tropikalnego upału i zimowych zawiei, kozak nie zważa na żadne niebezpieczeństwo. Jeśli dodamy, że w tysiącznych pieśniach kozackich wychwalana jest śmierć bohaterska w boju, jeśli dodamy, że kozak nie obawia się śmierci na placu boju, a przeciwnie na każdym kroku na nią się naraża — będziemy mieli pojęcie o tej żywiołowości, z jaką rzuca się w krwawy bój, o tem lekceważeniu niebezpieczeństwa, o zniszczeniu, jakie w szeregach nieprzyjacielskich rozsiewa.

W toczącej się obecnie wojnie na dalekim Wschodzie kronika nie notuje bitwy, w którejby kozacy nie wykazywali swej dzielności i użyteczności, nie mówiąc już o utarczkach z przedniemi strażami, do których tylko kozacy są przeznaczani. Największą rolę kozacy odgrywają na równinach, z któremi bardziej są oswojeni i do których przyzwyczajają konie. Koń kozacki — mały, zwinny, ze wszystkich koni kawaleryjskich jest najbardziej wytrwały, pożywia się rzadko, a zadowala się wszystkiem, od zczerniałych z promieni słonecznych źdźbeł trawy, do morskich i kłujących liści krzewów przydrożnych.

Umundurowanie i uzbrojenie kozaka lekkie jest jak i on sam — koń pędzi lekko i nie męczy się, a w wir bitwy się rzucając, nie cofa się przed niczem, jak i jego jeździec, choć kozak prawie nim nie kieruje, bo pikę oburącz schwyciwszy, nią włada: koń idzie tam, gdzie największa walka wre, gdzie panuje największa zaciekłość...

Kozacy na dalekim Wschodzie latem i zimą noszą wielkie czapki barankowe: chronią one w zimie od mrozu, a w lecie od zbytnich upałów, ponieważ wełna nie przepuszcza promieni słonecznych.



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Widok na miasto i port wojenny we Władywostoku.

# Z TYGODNIA

### Feljeton składany.

*(n n)* A więc nietylko *habemus papam* ale i *vicepapam*. Został nim arendarz drukarni „Czasu", wesoły (choć nie goły) p. Michał Chyliński. Jest to znany abnegat *vir bonae voluntatis*. Nie każdy by się zgodził brać za durno 9000 koron, a on się zgodził. Bierz Michale, co Leo daje. Powiedział nawet, że więcej weźmie, jeżeli mu dadzą. A na lewicy lament, bo wie teraz lewica, co daje prawica. A z tego dla niej nic — nawet ochłapki nie wpadną do łapki. Bo gemba konserwatywna bezkompromisowa jak ów drago Kalewali — wzdycha a żre złoto i kraby, lędźwie wielbłądzie i sterty dżingiry. Żadnych sentymentów, aby tylko była abundacya mierzwy i afasia myśli.

A jak Leo zrodził Chylińskiego, tak Chyliński zrodzi Sarego. *Senatus populusque cracoviensis* będzie miał na czele niemca, rusina i żyda. Tylko, że żyd wbrew tradycyi zadowoli się lizaniem górnych kończyn. Drugi wicepapa będzie pracował nie dla mamony, ale aby *gloriam adipisci*. Kondotier bez żołdu. A wszystko dla dobra Izraela. Wyłom w twierdzy drugiego Rzymu — minę podkładają konserwatyści, *defensores sanctae romanae Ecclesiae*. Unia żydowsko-katolicka. *L'union fait la force!*

Dla przebłagania nieba urządza municipium krakowskie kopię lwowskiego kongresu maryańskiego. Feretron nieść będą: Horowitz, Kosobucki, Fischler i Markus. Horowitz jako sodalis Marianus, Kosobucki bo ma kontusz i fizys feretronową, Fischler jako antysemita, a Markus, bo jest do „wszystkiego". *Tausendkünstler!* Ma być dyrektorem teatru – na początek konserwuje dach narodowej sztuki. *All right!*

We Lwowie tymczasem otwarto sejm. Staś Badeni cmokał i głaskał Rusinów a ci: hau, hau! i łap za łydki zażywnych szlachciców. Podolacy krzyczą: a pudziesz! – a pieski warczą: ne pora. Warczą i kąsają. A hrabia Wojtek ogania się i grozi Rusinom napisaniem dramatu dziejowego „Pip w kukuruzi". Ta zapowiedź rycynusu może ich powstrzymać od obstrukcyi. Co gorzej. Staś mówi: niema hroszy! a Jędruś: ne dam hroszy. *Maul halten, Steuer zahlen!*

* * *

*(K z.)* Staraniem pp. prokuratorów Ptasia i Trzaskowskiego, a dzięki pp. Domagalskim i Markusom, arcymistrzom kontroli, Maksymilian Müller i Stanisław Barko będą pościć raz na miesiąc, a Bolesław Walla raz na dni 14. Czas tego postu oznaczony został dla pierwszego na lat 5, dla drugiego na 3 i pół roku, a dla trzeciego na sześć miesięcy. Romcio vel Faja (po metryce Chmurski) został od postu uwolniony. Również i obie *kawki* wypuszczono z klatki na swobodę.

Werdykt ten nikogo nie zdziwił – wymogom sprawiedliwości stało się zadość. Ale kto wróci Chmurskiemu i Kavkom niezasłużone więzienie i infamię? Za często zdarzają się takie omyłki, za często samo podejrzenie lub przypuszczenie występku lub zbrodni stanowi dostateczny argument dla funkcyonaryuszów Justycyi, aby pozbawiać podejrzane jednostki wolności.

Proces ten nie wróci Towarzystwu rękodzielników skradzionych kroci, ale może nauczy je i im podobne instytucye, że do prowadzenia i kontrolowania kredytowych zakładów trzeba umieć coś więcej jak szyć buty, heblować, dachy pobijać blachą, reperować zegarki, oprawiać książki i t. d. *Schuster, bleib bei deinem Leisten!*

Ciemnoty i niezdolności nie wywabi żaden... soczek.

* * *

*(St.)* Z teatralnego świata trochę wieści.

W Paryżu pierwszą nowością sezonu jest Champagne'a „Mademoiselle turore" grana w Theatre Cluny. Farsa wesoła opowiada kłopoty bohaterki mającej dziewięciu narzeczonych. W teatrze des Capucines bawią „Pantalony baronowej" farsa Ferauda.

Varietés wystawią operetkę „Raj Mahometa" (Le paradies de Mohamed). Jestto ostatni niedokończony utwór Planquetta. Dokończenia w duchu zmarłego kompozytora podjął się L. Gaune.

Teatry paryskie narzekają na ciężkie czasy. *Comedie française* miała w lipcu r. z. przeciętnie dochodu za wieczór 2747 franków, a w roku bieżącym tylko 1942 fr.

W Wiedniu przepadła nowa birchpfeifferiada „Der gute Ton", utwór Jühring-Bardeya. Za to cieszy się powodzeniem Meyer-Förstera: „Alt Heidelberg".

W Medyolanie średnio podobała się Soldaniego „Margueritta da Cortona". Repertuar nowości włoskich zapowiada Rovetty „Il re scherza", Bertolazziego „Il diavolo e aqua santa" i Marka Paayi „La crosi". Wawrzyniec Filiasi, drugi zwycięzca na tegorocznym konkursie Sonzogna pracuje nad operą „Magda".

U we Lwowi nasz swawolny Tadeuszek dał na początek „Capstrzyk" głośną 4 aktówkę Bayerleina, w której wystąpiła miła Kocia po dłuższym urlopie. Po niemcu Bayerleinie, przyjdzie kolej na Duńczyka Adolfa Paula; trzyaktowa jego komedya „Figiel sobowtóra" jest reklamowana jako wysoce oryginalna. W operetce na pierwszy ogień pójdzie Reinhardta „Konsul generalny".

W Warszawie mamy nową autorkę dramatyczną. Jest nią niedawna artystka teatrów warszawskich p. Fedorowiczowa. Jednoaktówka jej „Zawierucha" jest melodramatem, opartym na kazirodztwie. Melodramat podobno marny, ale aktorka jest nie podobno, lecz naprawdę najpiękniejszą z autorek polskich, a prawdopodobnie i europejskich.

Kamiński wywiózł z Warszawy 10.000 rubli za 70 przedstawień. Powodzeniem zagasił... Gasińskiego. Chciano go angażować na zimę, ale żądał 200 rb. od występu. Majstrowi od teatru Śliwińskiemu wydało się to za drogo.

Knake-Zawadzki formuje trupę prowincyonalną dla Królestwa.

A u nas? U nas Józio szuka autorów co tantjem nie biorą. Więc stary Szekspir dostarczył mu komedyi „Koniec wieńczy dzieło". Jestto jeden ze słabszych utworów tego „cenionego autora", a dyrekcya postarała się przez odpowiednie przeróbki zrobić go jeszcze słabszym. Aktorzy ze swojej strony postarali się to osłabione słabe dzieło, grać bardzo słabo.

Występy Rapackiego przypomniały, że i teatr krakowski niegdyś można było brać na seryo. Dziś nawet pan Daszyński stwierdza publicznie w radzie miejskiej zupełny jego upadek, a nikt z rajców nie staje w obronie benjaminka. Na pocieszenie ma dostać Józio jakąś nową miejską subwencyjkę.

* * *

*(W. k.)* Co dziś na świecie popłaca?

W Berlinie w „Reichhofie" występuje co dnia, a właściwie co wieczora Rigo, ów sławny Rigo księżny Chimay. Księżna rzuciła cygana, a wzięła konduktora z kolei na Wezuwiusz. Przestała jej smakować papryka – zapragnęła ognia wulkanicznego. Rigo wziął odczepne i sławę byłego kochanka bogatej, pięknej i ekscentrycznej arystokratki.

Taka sława, to majątek. Rigo za każdy wieczór bierze 500 marek. Reklamę urządzono mu na wielką skalę. Pisma illustrowane zapełniono portretami jego i księżnej. Na jednej rycinie stoi on z księżną, trzymając się za ręce, na drugiej klęczy u jej kolan, na innych widać księżnę w samych trykotach, w pikantnych pozach. Więc różne księżne Chimay z Friedrichsstrasse biegną do Reichshofu, aby zobaczyć czy dobry gust miała dostojna protektorka cygana... Jedne mówią, że wygląda jak anioł upadły, drugie zachwycają się jego białemi zębami, inne wysoką kulturą, bo Rigo włada językami francuskim i angielskim, a tym ostatnim rozmawia w antraktach ze swoją nową przyjaciółką.

Rigo rozumie swoją wartość. Siada wysoko u pułki i pozwala się oglądać. Podczas gry obraca się na wszystkie strony, aby go dobrze widziano. Więc setki lornetek damskich chwytają każdy szczegół jego postaci, każdy jego ruch, każdy uśmiech łaskawy.

A protektorka, pomimo konduktora wulkanicznego, nie zapomina jeszcze o nim. Na pierwszem przedstawieniu publiczność widziała wieniec z róż, okalający lirę ze złotemi strunami, a na szarfach wieńca czytała: *„To my dear Jancsi – Clara"*. W inseratach też nie zapomniano donieść, że Rigo będzie swój ból i tęsknotę tłómaczyć poważnemi węgierskiemi pieśniami.

500 marek za występ! Dobrze być nawet odrzuconym kochankiem kokoty z wielkiego świata.

* * *

*(W. k.)* Wąsy i nosy są w strachu — jednym grozi zagłada, drugie znalazły srogiego nieprzyjaciela.

Nosoburcą jest znakomity francuski krytyk Emil Faquet. Co to jest nos? pyta się on i zaraz sam sobie odpowiada: „Jest to ironia natury, która chcąc nas poniżyć, umieściła w środku oblicza taką niekształtną rurę. Nos jest najgłupszą częścią twarzy i jakikolwiek on jest, długi czy krótki, krzywy czy prosty, nigdy nie wygląda inteligentnie i nigdy nie dodaje twarzy szlachetnego wyrazu. Ponieważ każdy człowiek ma inny nos, widoczna z tego, że artysta, który nos stworzył, był w wielkim kłopocie co z nim zrobić i długo się wahał, zanim z linij twarzowych wyciągnął taki niekształtny ogryzek".

Dostał więc nos szczutka w nos, ale może zagrać panu Faquet... na nosie. Żadna siła go nie zedrze z powierzchni oblicza, a my wbrew wszelkim teoryom artystycznym, wielbić będziem ładne noski. A czy właścicielki tych nosków zgodziłyby się, abyśmy sobie nosy, choćby były najbrzydsze, poucinali? Za co by nas prowadziły?

O wąsy jednak drżeć należy, *„Frankfurter Zeitung"* donosi, że bardzo wielu przemysłowców niemieckich, którzy pojechali na wystawę do St. Louis z pięknemi, zawiesistemi wąsami, wróciło z Ameryki bez wąsów, ponieważ w Ameryce jest modą u młodych ludzi golić sobie całą twarz, a więc i wąsy. Również w Londynie i Paryżu ukazała się wielka ilość bezwąsych i stanęło pytanie, czy młodzi ludzie mają czy nie mają być wąsatymi. Utworzyły się natychmiast dwa obozy. „Moderniści" głosują za twarzą gołą, może są w zmowie z fryzyerami. Mówią oni, że kto chce mieć twarz wyrazistą, kto pragnie, aby formy ust i siła oczów silnie wystąpiły, ten musi pozbyć się zarostu. Golili się starzy Rzymianie, golili się synowie wielkiej rewolucyi, Napoleon gardził brodą i wąsami, gardzą niemi i dzisiejsi zdobywcy świata Amerykanie. Wąs do ludzkiej twarzy się nie nadaje, kultura odtrąca ten szczątek, dokument ludzkiej dzikości. Zwolennicy wąsów dowodzą natomiast, że wąs jest przyrodzoną ozdobą twarzy ludzkiej, że dodaje wyrazu i powagi męskiemu obliczu. Twarz ogolona odpowiada narodowi tak zimnemu i realnemu jak Amerykanie, ale dla narodów europejskich, które posiadają swe ideały artystyczne, wąsy są znamieniem ich wyższości duchowej nad społeczeństwem handlarzy. Prawda, że Rzymianie się golili, że Apollo Beldewerski niema wąsów, ale Laokon, Mojżesz Michała Anioła Zeus Fidjasza i wszyscy mistyczni bohaterzy ludowi i narodowi występują z wąsami. Cały wschód nosi wąsy, — wąsy i brody Babilończyków i Chaldejczyków są dotyczas niedościgłym wzorem pielęgnowania zarostu.

Rozstrzygnięcie ważnej tej sprawy leży w rękach płci pięknej – jej przysłuża wydanie werdyktu. Miejmy nadzieję, że ona jak bez nosów, tak i bez wąsów widzieć nas nie zechce. Zwłaszcza Polki, które już od dawna znają wiersz Kniaźnina: „Ozdobo twarzy pokrętne wąsy" i wiedzą, że „Bożek miłości na wąsach siadał":

Gdy szli na popis rycerze nasi
A męstwem tchnęła twarz okazała,
Maryna, patrząc, szepnęła Basi:
„Za ten wąs czarny, życie bym dała".

Jana Trzeciego gdy Wiedeń sławił,
Głos był powszechny między Niemkami:
„Oto bohater, który nas zbawił,
Jakże mu pięknie z tymi wąsami!"

Bądźmy zatem spokojni o nasze wąsy. Dopóki Polki stać będą w ich obronie, nie damy się „golibrodom" amerykańskim, choćby zwyciężyli w Paryżu i Berlinie.

* * *

*(K. z.)* Nasza niepraktyczność okazuje się nawet w cenie biletów wstępu na wystawę ogrodniczą.

W pierwszy dzień wystawy bilet kosztował koronę. Była to niedziela, dzień piękny, Jordanówka aż nęciła, ale korona jest koroną. Na nasze krakowskie kieszenie to za dużo co najmniej o 30 centów. Żeby to wreszcie korona, ale kto wstąpił w święty stan małżeński, a temu jego stanowi Pan Bóg hojnie pobłogosławił, to wycieczka do Jordanówki pachła dwoma i trzema guldenami za samo wejście.

Więc też było w Jordanówce w dzień otwarcia wystawy osób 500, co przyniosło tyleż koron.

A gdyby wstęp kosztował 20 centów, to byłoby na wystawie 3 do 4 tysięcy osób, coby dało 1200 do 1600 koron.

## Migawki teatralne.

Pod powyższym tytułem umieszczać będziemy stale w każdym numerze sylwetki artystek i artystów teatrów krakowskiego, lwowskiego, poznańskiego i warszawskiego. Zaznaczamy, że w układzie tych sylwetek nie będziemy się powodować ani alfabetem, ani też „rangą“, zajmowaną przez artystów w hierarchii artystycznej, lecz zamieszczać je będziemy w dowolnym porządku. Na pierwszy ogień niechaj więc idzie

**Konstancya Bednarzewska.**

Z pośród gwiazd lwowskiego teatru jedna z najjaśniejszych.... Świeci co wieczór, ile razy afisz zapowiada dramat lub komedyę. Za bardzo jest ona niezmordowaną.... Bierze co się daje, nawet rcle nie zawsze stosowne, co jej czasami wychodzi na szkodę. Prawdziwy mistrz nie powinien powszednieć, występować nie bardzo często, ale zagrać... Vide Kamiński... on to rozumie...

A on właśnie był pierwszym, do którego jako ówczesnego dyrektora trupy polskiej w Petersburgu, zapukała młoda a piękna pani Konstancya, prosząc o engagement. Po roku jedzie do Krakowa, gdzie z dużem powodzeniem występowała przez dwa sezony pod dyrekcyą Pawlikowskiego. Następnie udaje się do Lwowa, gdzie również przez dwa sezony gra już jako jedna z pierwszych artystek dramatu pod dyrekcyą Hellera i Bandrowskiego. Z objęciem nowego teatru miejskiego przez p. Pawlikowskiego, przeszła pani Konstancya do jego sztabu, do którego należy po dziś dzień.



Konstancya Bednarzewska.

Pani Bednarzewska ma talent bardzo wielki, choć bynajmniej nieskomplikowany i jak już wspomniałem – powinna się więcej oszczędzać. Ma role, w których jest niezrównaną — to te, które jakby dla niej napisane i w tych bryluje... Ale ma i role, w których jest tylko przeciętną artystką — to te, które bierze na ślepo, choć należą do kogo innego... Do pierwszych należą: Rusałka (w „Dzwonie zatopionym“), Toska („Spuścizna“), Matka („Młodość“), Krystyna („Miłostki“), Fanny („Bajka“), Antonina („Bożyszcze“), Aniela („Śluby panieńskie“) i wiele, wiele innych.

Jej zalety? Bardzo zgrabne exterieur, sympatyczny i dźwięczny głos, elegancya ruchów, wyrazista mimika i niezwykła swoboda....

A o najważniejszem zapominasz? Tak, prawda... bajeczne, przepyszne są jej toalety... zawsze gustowne, zawsze drogie... Na ogół: wielka artystka i bardzo sympatyczne zjawisko... *Oko.*

# TAJEMNICZA WILLA

**(Z opowiadań włamywacza na tle prawdziwych zdarzeń).**

Z angielskiego przełożył
KAZIMIERZ E.

2 Ciąg dalszy.

— Na tę noc mam dosyć! — pomyślałem, chowając klejnoty do kieszeni — przecież jutro mogę tu przybyć z powrotem.

W więzieniu przyzwyczaiłem się do zażywania tabaki, to też teraz z całą przyjemnością wyciągnąłem z kieszeni znalezioną przed chwilą tabakierę i zażyłem szczyptę pysznej, pachnącej tabaczki.

I wtem nagle dziwna senność mnie opanowała Bezwiednie prawie osunąłem się na fotel, głowa opadła mi na piersi, a wszystkie me wysiłki, żeby się ocknąć bodaj na chwilę były daremne!...

A jednak mimo to wszystko zdołałem na chwilę otworzyć oczy.

Dreszcz wstrząsnął mem ciałem. Czy to sen, czy jawa?!... Co to?! Stół, łóżko, podłoga wznoszą się do góry, czy też ja z mym fotelem usuwam się w jakąś przepaść?!...

Chciałem się zerwać, chciałem krzyczeć — nie mogłem!...

W mgnieniu oka straciłem władzę w gardle... chwila — i straciłem zupełnie przytomność...

III.

Jak długo pozostawałem w tem uśpieniu, tego sam nie wiem, ale gdy nareszcie ocknąłem się, uczułem silny ból głowy i wszystkich członków, taki ból, jaki odczuwa się po śnie, który poprzedziło przepicie. Słowem miałem tak zwany „katzenjammer“.

Ten ból tak z początku pochłonął całą moją uwagę, że nawet nie pomyślałem, aby otworzyć oczy i zobaczyć, co się wkoło mnie dzieje.

Ale zaledwie zdołałem to uczynić, zaledwie podniosłem powieki, uczułem dreszcz przenikający.

Tuż naprzeciwko mnie, nawet dotykając moich kolan swojemi, w takim samym jak ja fotelu, siedział z utkwionym we mnie wzrokiem jakiś poważny starzec, otulony w długą czarną togę.

Na gładko wygolonej wyrazistej jego twarzy malował się głęboki smutek, który czynił go jeszcze starszym. W oczach, z których przebijała się dobrotliwość, chwilami zapalały się takie ognie, że ciarki mnie przechodziły.

I podobał mi się ten starzec, podobał mi się nawet bardzo! Mniej natomiast a raczej całkiem nie podobał mi się elegancki sześciostrzałowy rewolwer amerykański w jego ręku, skierowany całkiem niedelikatnie prosto w pierś moją.

Pod wrażeniem tego prawie mimowoli uchwyciłem się za kieszeń, w którą poprzednio schowałem mój nóż chirurgiczny, służący tak dobrze za wytrych.

Uchwyciłem się i — czułem sam, jak zbladłem ze strachu.

Kieszeń moja była pusta!...

Wyciągnięto mi nóż, ten nóż, który stanowił jedną jedyną moją obronę.

Byłem więc zdany na łaskę i niełaskę starca, który jak to wczoraj w jego pracowni sam widziałem — lubiał dyabłom czy też aniołom przysparzać duszyczki!...

Lecz w tej samej chwili, w której skonstatowałem moją bezbronność, postanowiłem mimo to drogo sprzedać me życie.

Nie mówiąc ani słowa, rozglądnąłem się dookoła. Wzrok mój szukał za czemś, coby mogło w mych rękach stanowić broń jakąkolwiek, gdyż teraz w każdym razie przeciwnik mój był górą: miał rewolwer, podczas gdy ja stanąć mogłem do walki z gołemi rękami!...

I już chciałem wstać, już chciałem pochwycić za żelazną sztabę, idącą wzdłuż wezgłowia fotelu aż pod samą powałę, gdy nieznajomy starzec zwrócił się do mnie z delikatną uwagą:

— Przestań pan proszę! Ręczę bowiem, że fotelowa winda, na której pan siedziałeś, nie da się tak łatwo uszkodzić!...

Ale ja nie zwróciłem bynajmniej uwagi na to zdanie i uchwyciwszy sztabę w me dłonie, wytężyłem wszystkie siły, aby tylko oderwać ją od fotela.

— Przestań pan proszę — zabrzmiał znów przenikliwy głos starca — przestań, albo...

I teraz pozostałem głuchy na jego uwagę tembardziej, iż zdawało mi się, że sztaba zaczyna chwiać się pod naporem mych dłoni. Zyskać jakąkolwiek broń, to było jedno marzenie, które mnie całkiem absorbowało...

W tej chwili huknął strzał i kapelusz przeszyty kulą, zleciał mi z głowy.

Czy ten tajemniczy starzec chciał mi roztrzaskać głowę, czy też naumyślnie strzelił tylko do mego kapelusza? Na razie nie zdawałem sobie z tego sprawy, pomyślałem tylko, że gdyby przeleciała była choć o kilka milimetrów niżej, byłbym napewne wzbogacił zbiór trupów tej willi!...

— Ten strzał uważaj pan tylko za upomnienie! — odezwał się tymczasem cichym głosem starzec. — Zdaje mi się, że teraz nie zechce pan chyba bronić się dalej i wysłuchasz to, co mam ci powiedzieć.

— Dziękuję za tak wymowne upomnienie, jakiem jest kula rewolwerowa! — mruknąłem ze złością — no! gadaj pan! gadaj, co chcesz mi powiedzieć, bo przemoc jest teraz po pańskiej stronie!

— Zapewne! — uśmiechnął się wesoło starzec — a może mi pan wierzyć, że z przemocy tej skorzystam, jeśli pan tylko będzie się dalej zachowywał tak, jak do tej pory! A teraz rozpoczniemy naszą rozmowę. Dobrze, co?... Otóż pan jest z fachu włamywaczem?...

Spojrzałem na przedmioty zrabowane przezemnie i leżące obecnie na stole, bo poczciwy staruszek nie zapomniał zrewidować, podczas gdy byłem uśpiony, moich kieszeni.

— Ha! — odezwałem się — nie będę wcale przeczyć, że zakradłem się tutaj w takiej roli. Ale ponieważ pan skutkiem tego nie poniósł żadnej straty, gdyż przedmioty i gotówka zrabowana przezemnie są znowu w pańskiem ręku, mogę chyba prosić o wypuszczenie mnie ze swojej opieki. Zresztą przyznam się panu, że mam powody, dla których zdałoby mi się jaknajprędzej podziękować panu za tę opiekę!...

— Powody?! a może pan zechce mi powiedzieć, jakie to są te powody?...

— O! z całą przyjemnością!... Dopiero co opuściłem mury więzienne i muszę zgłosić się tu w mem rodzinnem mieście pod nadzór policyi. Otóż, jeśli zanim jeszcze zamelduję mój powrót w policyi, zostanę już złapany...

— A tak! tak! Rozumiem, bardzo dobrze to rozumiem! Dostałaby się panu kara i to znacznie większa, niż poprzednio. Zyczenie pańskie uznaję całkiem za uzasadnione, ale niestety w tym kierunku nie mogę panu już pójść na rękę!...

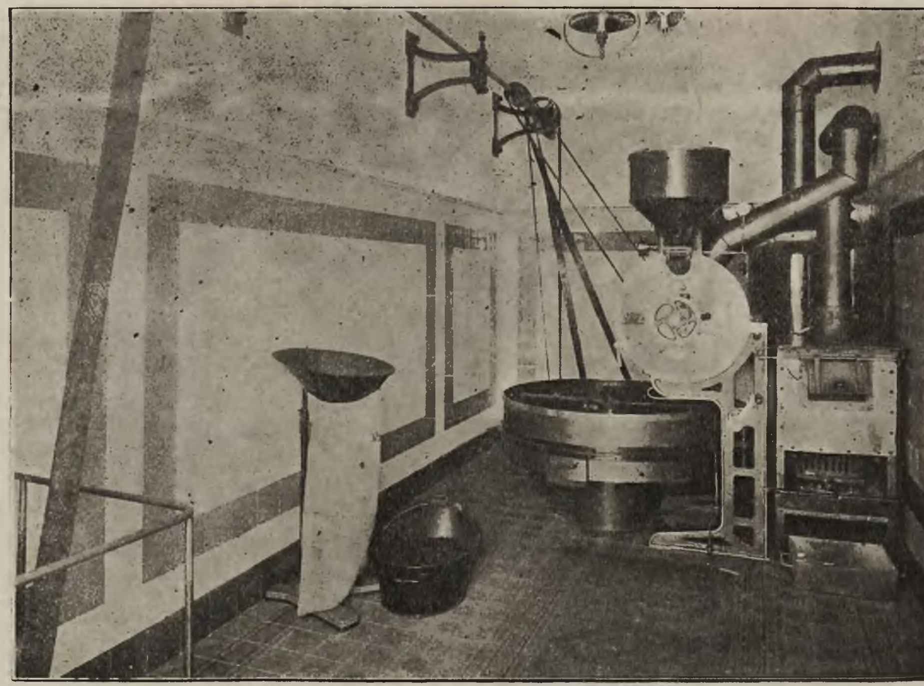
C. d. n.

## Szczególne znaki.

Ażeby poznać szczególne znaki, które wybitną stanowią różnicę między żonatym a kawalerem — najlepiej jest przeszukać kieszenie jednego i drugiego...

U kawalera znajdziemy:
Pół tuzina listów miłosnych.
Rachunek od krawca.
Kartkę zastawniczą.
Trzy lub cztery kontramarki teatralne.
Ze dwie fotografie pięknych dam.
Jedną malutką damską rękawiczkę.
Jedną woalkę.

W kieszeni żonatego pokaże się natomiast:
Stary rachunek od krawcowej.
Kilka listów nieotwartych, które zapomniał wrzucić do skrzynki.
Pudełko szwedzkich.
Pół gazety lwowskiej.
Kartka z litanią sprawunków, jakie mu przed wyjściem na miasto wypisała małżonka.
Rachunek od szewca za pięć par par bucików dziecięcych.
Jeszcze dwa rachunki. Rachunek od rzeźnika. Rachunek z korzennego sklepu. Nota bene: *wszystkie rachunki niepokwitowane.* *K.*



**Wnętrze nowej palarni kawy p. M. Jawornickiego w Krakowie.**

## O racyonalnem paleniu kawy.

Kawa od dawna przedstawia produkt, który celem łatwiejszego zbytu — szczególnie w gorszych gatunkach — podlega rozmaitym manipulacyom, mającym na celu jego „upiększenie“. Jak w kawie surowej polerowanie i barwienie, tak w palonej rozmaite manipulacye około nadania jej pozoru kawy świeżo upalonej lub zachowania w niej aromatu, czasem celem i obciążenia, a nawet jednostajnego zabarwienia niejednolitego w swej dojrzałości produktu, odgrywają rolę najważniejszą. Wiedzą o tem, lub przynajmniej podejrzewają dobre gospodynie i — palą kawę u siebie w domu. Wiadomo zaś jak rozmaicie wypada pod względem smaku kawa upalona w domu, mimo palenia tego samego gatunku w poszczególnych porcyach. Przyczyny te leżą bądź w nieodpowiedniej, nie zawsze jednostajnej, ciepłocie ogniska, w przepojeniu kawy produktami spalenia (dymem) węgla i suchej destylacyi prażonych ziaren, w końcu zależą od straty produktów aromatycznych, właściwych kawie — straty różnej przy rozmaitym czasie prażenia kawy i krótszem lub dłuższem jej chłodzeniu po uprażeniu. Wynik uprażenia będzie się zaś różnił tem więcej, jeżeli zamiast jednego gatunku używa gospodyni rozmaitych gatunków kawy surowej. Obecność w kawie palonej składników aromatycznych, nadających jej smak właściwy i przyjemny, zależy nie tylko od gatunku kawy, ale w wysokim stopniu od sposobu jej uprażenia — stąd staje się zrozumiałem znaczenie, jakie dla jakości smaku kawy posiada sposób prażenia.

Technice ostatnich lat udało się pod kierunkiem nauki chemicznej i znawców osiągnąć wybitny postęp i w tym zakresie przemysłu i handlu przez stworzenie pieców, w których palący kawę panuje dokładnie nad warunkami jej prażenia tak co do ciepłoty, jak i przykrych produktów spalenia i suchej destylacyi koksu wzgl. kawy. Połączenie pieca z silnym wentylatorem daje możność szybkiego ostudzenia kawy — co ochrania ją od pewnej straty aromatu.

Wobec faktu, że sposób palenia kawy w nowych piecach zapobiega wybitnie znacznej stracie na wadze, nieuchronnej przy dawnej metodzie palenia, odpada potrzeba zastosowania manipulacyi, których celem było przywrócenie jej choć w części wagi pierwotnej. Zarazem uchyla ten nowy sposób prażenia przez zachowanie w kawie większej ilości składników aromatycznych, przez możność prażenia szybkiego i częstego, stosowane przy dawniejszej metodzie prażenia manipulacye, których celem wprawdzie zachowanie aromatu, a które w praktyce psują często smak kawy. Tak więc nowy sposób palenia kawy nie tylko zachowuje i nadaje jej aromat, a stąd poprawia jej smak, ale zarazem uchyla potrzebę manipulacyi, nie wychodzących zawsze na korzyść konsumującej publiczności.

Miło mi zaznaczyć, że nowy piec do racyonalnego palenia kawy wraz z wzorowem urządzeniem palarni wprowadziła u siebie znana z wzorowego handlu kawą firma kupiecka M. Jawornickiego w Krakowie.

***Dr. Leonard Bier.***

## Łamigłówka kryształowa.

```
              +
            . + .
          . . + . .
        . . . + . . .
      . . . . + . . . .
    . . . . . + . . . . .
  . . . . . . + . . . . . .
+ + + + + + + + + + + + + + +
  . . . . . . + . . . . . .
    . . . . . + . . . . .
      . . . . + . . . .
        . . . + . . .
          . . + . .
            . + .
              +
```

a a a a a a a a a a a a a a a b b b c c c c d d d d d d d d d d e e e e e e e e g h i i i i i i i i i j k k k k k k k k k k k l l l ł m m n n ń o o o o o o o o p r r r r r r r s s s s s s s t t t t t t u u u u u w w w w w w w w y y z z

Powyższe głoski wstawić na miejsce kropek i krzyżyków — ażeby w ten sposób złożone słowa miały znaczenie jak następuje:

1. Spółgłoska. 2. Zwierzę. 3. Miasto włoskie. 4. Rzemieślnik. 5. Poeta polski. 6. Autor polski. 7. Dwa pseudonimy poetek polskich. 8. Znaczenie łamigłówki. 9. Imię i nazwisko poety polskiego. 10. Poseł polski współczesny do berlińskiego parlamentu. 11. Człowiek składający życzenia. 12. Główne miejsce kolejowe. 13. Wytwór z drzewa. 14. Część dłuższego dramatu lub komedyi. 15 Samogłoska.

Krzyżyki w przekątniach kryształu dadzą osobistość — jedną z panujących dworów niemieckich — w ostatnich czasach bardzo osławioną i omawianą.

## SZARADA.

Właśnie tego *druga pierwsza*
*Całość* cały świat powtarza;
*Trzecia, druga* i *wspak czwarta*
Rzecz przydatna dla malarza.
Dodam jeszcze: *pierwsza, druga,*
Dwie nie polskie są to zgłoski;
*Trzecia* każdy zna szachista —
Zgadnąć to — nie wielkie troski!

## REBUS.




Za rozwiązanie rebusa, łamigłówki i szarady przeznacza redakcya trzy nagrody: 1. **Dzieła Mickiewicza,** 2. **Edgara Allana Poëgo: „Morderstwo przy ulicy Morgue“,** 3. **„Humoreski Stasiaka“.**

Rozwiązanie raczą nadsyłać (tylko prenumeratorowie!) do Redakcyi „Nowości illustrowanych“ najdalej do wtorku najbliższego po wyjściu numeru.

### W domu.

Matka (do czteroletniego synka): Józiu! Umyj się dzisiaj porządnie.

Józio: A to czemu?

Matka: Twój chrzestny ojciec przyjdzie dziś do nas z wizytą.

Józio: Ojciec chrzestny? Dobrze, a jak nie przyjdzie?

### Na poczcie.

Przy okienku „poste-restante“ zjawia się dobrze już podstarzała stara panna i pyta urzędnika:
— Czy niema listu pod „pączek róży“?
— Nie! Ale jest list pod „stare pudło“.

### Nasze dzieci.

5-letnia córeczka (do matki, która płacze): Czy znowu papa się z tobą dziś kłócił mamo? Ach! Co my biedne kobiety musimy cierpieć!

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Aleksander Ripper. Z drukarni Władysława Teodorczuka i Ski w Krakowie, ul. Zielona 7.